







Porównanie
Wiktor Hugo.

Rzeczy widziane

1848 — 1849

z niewydanych rękopismów,

W przekładzie
i z przedmową

Juliana Ochorowicza.



WARSZAWA.

DRUKARNIA

„Biblioteki Dzieł Wyborowych“

47. Nowy-Świat 47.



80708 *BB*

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Декабря 1899 года.

PRZEDMOWA.

Jak tylko doszła nas wiadomość o wydaniu w Paryżu (a jednocześnie w Berlinie i w Londynie) drugiej seryi nieogłoszonych dotychczas drukiem pamiętników Wiktora Hugo p. t. *Rzeczy Widziane*, zamówiliśmy egzemplarz u wydawcy. Pokup jednak na tę książkę okazał się na miejscu tak wielkim, że po pierwsze, musieliśmy czekać parę tygodni zanim ją nam przysłano, a powtóre, chociaż żądaliśmy pierwszej edycji, otrzymaliśmy ósmą.

Winienem objaśnić, że wydawcy paryscy mają zwyczaj, gdy chodzi o rzecz z góry obiecującą powodzenie, drukować od razu kilka wydań i nazywają pierwszym wydaniem pierwszy tyśiąć, drugim drugi tyśiąć egzemplarzy i t. d.

Zatem przysłanie nam odrazu ósmego wydania dowodzi, że przeszło 7000 egzemplarzy rozchwytało na miejscu.

Ta nowa serya pośmiertnych rękopismów Wiktora Hugo obejmuje okres czasu od 1825 do 1871. Ale nie są to rzeczy ściśle powiązane ze sobą. Właściwą całość stanowią tylko lata 1848 i 1849, wypełniające też większą część dzieła. A ponieważ w chwili obecnej z tą właśnie epoką chcielibyśmy, o ile to jest możliwem, wszechstronnie zapoznać naszych czytelników, zanim przejdziemy do innych, postanowiliśmy, i dla zgodności z planem redakcyjnym, i dla szybszego zaspokojenia ciekawości czytelników, zacząć od publikacyi wspomnień wielkiego poety z epoki 1848 roku.

Są to kartki bezpretensjonalne, ale tak wyborne, tak świetnie odbijające i oryginalny talent i wielkie serce francuskiego romantyka, że nikt z pewnością nie pożałuje czasu, spędzonego na ich odczytaniu.

Powiedziałbym nawet, że w owych pośmiertnych rękopismach, nieprzeznaczonych odrazu do druku, zacierają się wady a występują wybitniej zalety genialnego pisarza. Może właśnie dlatego, że wadami jego były, z jednej strony, zbyt wyszukane zestawienia kontrastowe, przy wykończaniu rękopismów, z drugiej, rażące niekiedy przeładowanie opisów szczegółami i cytatai technicznemi — na które tutaj również nie było czasu.

Natomiast pozostała nieporównana obrazowość,

treściwość i plastyka opowiadań, oraz dowcip i podniosłość myśli.

To, co Hugo widział w owych niecodziennych zdarzeniach, przedstawione jest z taką ścisłością, tak żywo i wyraziście, że gdyby czytelnik sam był świadkiem opisywanych wypadków, z pewnością nie zachowałby po nich jaśniejszych wrażeń, niż te, jakie wyniesie z przeczytania wspomnień autora. Widzi je bowiem przesuające się przed oczyma duszy, nie jak w mniej lub więcej wiernej panoramie, ale jak w naocznej, tętniącej życiem rzeczywistości.

Redakcja „Biblioteki” zapewniła sobie w dalszym ciągu relacye, dotyczące i bliższych nas zdarzeń z tej samej epoki, a między innymi wspomnienia H. Szumana, b. prezesa Koła Polskiego w Berlinie, o wypadkach w Berlinie i w Poznańskim w r. 1848.

Tymczasem zaś dajemy dzieje rewolucyi paryskiej, których sprawozdawca, chociaż poeta, umiał zachować należyta obiektywność historyka, patrzącego z góry na współczesne kolizye.

Życiorysu i oceny literackiego stanowiska Wiktora Hugo w piśmiennictwie europejskiem nie powtarzamy, ponieważ daliśmy je już w tomie 40 „Biblioteki”, skreślone obszernie kompetentnem a barwnem piórem J. A. Święckiego.

I.

W Izbie Parów Francyi ¹⁾.

1846.

Wczoraj, 22 lutego, poszedłem do Izby Parów. Dzień był piękny, ale mroźny, pomimo słońca i południowej pory.

Na ulicy Tournon ujrzałem człowieka, prowadzonego przez dwóch żołnierzy. Był to blondyn, blady, wynędzniały, o błędnem spojrzeniu, lat około trzydziestu; miał na sobie spodnie z grubego płótna, nogi bosa i pokaleczone, w drewnianych chodakach, pookręcane zakrwawionemi szmatami; bluzę krótką, zabłoconą na plecach, co wskazywało, że spędzał noce na bruku; głowę odkrytą i potarganą.

¹⁾ Izba Parów była Izbą wyższą, która łącznie z niższą Izbą Posłów i z królem, stanowiła władzę prawodawczą. Nazwa pochodzi z łacińskiego *Pares* — równi, i oznaczała pierwotnie tylko książąt i dostojników duchownych. We Francyi od czasów Karola Wielkiego bywało tylko 12-u Parów. W następnych wiekach liczba ich rośnie, ale znaczenie słabnie. Zniesiona przez wielką rewolucyę *la Cour de Paires*, albo *Chambre des Paires*, zostaje wznowiona w r. 1814. Za czasów drugiego Cesarstwa zastąpił ją Senat. (*Przp. Tł.*)

Pod pachą niósł bochenek chleba. Gromadka idących za nim gapiów objaśniała, że skradł ten chleb i że za to go aresztowano.

Gdy doszli do koszar żandarmeryi, jeden z żołnierzy wszedł do gmachu, a człowiek pozostał pod strażą drugiego żołnierza.

W tej chwili przed bramą koszar zatrzymał się powóz. Była to wielka karetka, zawieszona na pasach, pokryta herbami, z koronami książęcimi na latarniach, zaprzężona w dwa szpakowate konie, z dwoma lokajami w tyle.

Pomimo podniesionych szyb, można było widzieć wewnątrz landary, wybite biało - złotym adama-szkiem.

Motloch zaczął się przypatrywać tej karecie, co i mój wzrok na nią skierowało. Siedziała w niej kobieta w różowym kapeluszu i czarnej aksamitnej sukni, świeża, biała, piękna, olśniewająca, która śmiała się i bawiła ślicznym półtorarocznym dzieciątkiem, otulonym we wstążki, koronki i futra.

Ta kobieta nie widziała patrzącego na nią obdartusa.

Zamyśliłem się. Ów człowiek nie był już dla mnie człowiekiem, lecz nagłem, potwornem i grobowem widziadłem, zjawiającem się w biały dzień, w pełnym słońcu, widziadłem rewolucyi, pogrążonej jeszcze w ciemnościach, ale już niedalekiej.

I dawniej biedak ocierał się na swej drodze z bogaczem, widziadło nędzy spotykało się z chwałą dostatku; ale nie patrzyli na siebie, szli dalej. Mogło tak trwać bardzo długo.

Od chwili, kiedy ten człowiek spostrzegł, że ta

kobieta istnieje, podczas gdy ona nie domyślała się nawet, że obok niej stoi — przewrót zaczął być nieuchronnym.

22 sierpnia 1846.

Pan Markiz de Boissy jest śmiały, ma krew zimną, władzę nad sobą, głos odpowiedni, łatwość wysłowienia, dowcip niekiedy, nigdy nie daje się zbić z tropu — słowem, posiada wszystkie przymioty, potrzebne dla wielkiego mówcy.

Brak mu tylko talentu. Męczy Izbę tak dalece, że ministrowie pozwalają sobie nie odpowiadać mu. Mówi tyle, że aż wszyscy milkną. Specjalnie zaś szameruje zwykle kanclerza, jakby głównego swego przeciwnika.

Wczoraj, wychodząc z posiedzenia, które Boissy całkowicie wypełnił swoim miernem i małostkowym gadaniem, P. Guizot rzekł mi:

— Ależ to powódź! Izba posłów nie wytrzymałaby go dziesięciu minut, po dwóch pierwszych próbach. Izba Parów znosi go, dzięki swej wysokiej uprzejmości, i źle czyni. Boissy nie zamilknie, chyba wtedy, gdy cała Izba, usłyszawszy, że żąda głosu, wstanie i pójdzie do domu.

— Tak pan myślisz? — odrzekłem. — W takim razie pozostałby tylko on i kanclerz — byłby to więc pojedynek bez sekundantów.

18 stycznia 1847.

Dziś rozprawiano o adresie. P. de Boissy ma niekiedy przystępy dowcipu w swych gładzeniach. Wyraził się tak:

— Nie należę ja do tych, którzy czują wdzięczność dla rządu za dobrodziejstwa Opatrzności...

Sprzeczał się, jak zwykle, z kanclerzem. Urządził, nie wiem już jaką wycieczkę ekstrawagancką, gdy Izba zaczęła szemrać i wołać:

— Do rzeczy!

Kanclerz wstaje i mówi:

— Panie Markizie de Boissy, Izba wzywa pana do rzeczy. Wyrećca mnie w tym względzie. (Wtrąciłem do ucha Lebrun'owi: zamiast „wyrećca,” mógł być powiedzieć „oszczędza.”)

— Jestem jej za to wdzięczny... w pańskim imieniu—odpowiada Boissy.

A izba zaczyna się śmiać.

W kilka chwil potem kanclerz oddał piękne za nadobne.

P. de Boissy ugrzązł w jakiejś szykanie, dotyczącej regulaminu. Było późno. Izba niecierpliwiła się.

— Gdybyś pan nie był się bawił w podkreślanie rzeczy niepotrzebnych, byłbyś już odawna skończył swoją mowę, ku własnemu i ogólnemu zadowoleniu.

Izba w śmiech.

— Nie śmiejcie się! — woła książę de Mortemart.—Te śmiechy ubliżają Zgromadzeniu.

Na to zauważył p. de Pontécoulant:

— Pan de Boissy przycina panu kanclerzowi, pan kanclerz przygryza panu de Boissy. Godności brak obu stronom!

Na tem posiedzeniu książę d'Aumale, skończywszy lat dwadzieścia pięć, mógł po raz pierwszy zająć miejsce posła. Książę de Nemours i książę de Joinville siedli obok niego, za ławą ministrów, na zwykłych swoich miejscach.

Śmieli się nie mniej od innych.

Ponieważ książę de Nemours okazał się najmłodszym w swoim biurze, zgodnie ze zwyczajem, pełnił funkcye sekretarza. P. de Montalembert chciał mu oszczędzić tego trudu.

— Nie—rzekł książę—to mój obowiązek.

Wziął urnę i w charakterze sekretarza obchodził stół, zbierając głosy.

Podczas posiedzenia książę de Mortemart przyszedł do mojej ławki i gawędziliśmy o cesarzu.

P. de Mortemart uczestniczył w wielkich wojnach napoleońskich. Mówi o nich z uniesieniem. Był adjutantem cesarskim w r. 1812.

— Tam to—mówił mi—nauczyłem się czcić cesarza. Widywałem go zblizka dniem i nocą. Widziałem go, gdy się golił rano, gdy zmywał gąbką podbródek, targał za ucho służącego, gdy rozmawiał z grenadyerem, stojącym na warcie przed namiotem, gdy się śmiał, gawędząc o byle głupstwie— a jednocześnie, przy tem wszystkim, wydawał rozkazy, kreślił plany, wybadywał więźniów, radził się genera-

łów, polecał, rozstrzygał, decydował, w sposób nieodwołalny a prosty i pewny, w ciągu kilku minut, nie tracąc ani najdrobniejszego szczegółu z przedmiotu, ani jednej sekundy z niezbędnego czasu.

W tem życiu obozowem, codziennem i poufałem, jego umysł co chwila wyrzucał z siebie błyskawice. Ręczę panu, że ten zadawał kłam przysłowiu: „Żaden wielki człowiek nie jest wielkim dla swego służącego.“

— Ale bo też, mości książe—odrzekłem—przysłowie myli się. Wielki człowiek jest wielkim i dla swego służącego.

W Izbie Parów panuje ten zwyczaj, że w odpowiedziach na przemówienie korony, nie powtarza się tytułów, jakie król daje swoim dzieciom.

Jest również zwyczajem nietytułowanie ksiąząt „ich królewską wysokością,“ gdy się mówi o nich do króla.

Niema Wysokości wobec Majestatu.

21 stycznia 1847.

Wychodząc z posiedzenia, na którym Izba Parów rozprawiała o Krakowie, a milczała o granicy nadreńskiej, zstępowałem po wielkich schodach Izby, gawędząc z p. de Chastellux.

P. Décazes ¹⁾ zatrzymuje mnie w drodze:

— No i cóż, coś pan robił na posiedzeniu?

— Pisałem list do pani de Dorval (trzymałem go w ręku).

— Co za lekceważenie! Czemuś pan nie przemawiał?

Bom się trzymał starego przysłowia:

Kto jest sam swojego zdania,
Ten nie ma nic do gadania ²⁾.

— Różniłeś się więc w zdaniu?..

— Z całą izbą? Tak jest.

— Czegóż pan chcesz?

— Renu.

— Tylko tyle!

— Byłbym protestował i mówił bez echa—wołałem milczeć.

— Ach! Ren! Mieć Ren! Tak, to piękna poezya, poezya!

— Takie poezye nasi przodkowie układali siłą armat, a my je odrobimy siłą idei!

— Mój kochany kolego — odparł p. Décazes — trzeba poczekać. I ja chcę Renu. Będzie temu lat trzydzieści, kiedym mówił do Ludwika XVIII: „Najjaśniejszy panie, byłbym w rozpacz, gdybym pomyślał, że umrę, nie ujrzawszy Francyi panią lewego brzegu Renu.“ Ale zanim o tem będzie można

¹⁾ Książę Décazes, ówczesny minister spraw zewnętrznych. (*Przyp. Tł.*)

²⁾ Tout avis solitaire
Doit rêver et se taire.

mówić, zanim o tem będzie można myśleć, trzeba...
 płodzić dzieci.

— A więc — odrzekłem — wszakże to już lat
 trzydzieści upłynęło od tej chwili. Dzieci już są zro-
 bione.

23 kwietnia 1847.

Radzono w Izbie Parów nad niezbyt szczęśli-
 wie sformułowanem prawem o zastępcach w wojsku.
 Dziś miał przejść artykuł główny.

P. de Nemours przyszedł na posiedzenie. Jest
 w izbie osiemdziesięciu oficerów. Większość ich uwa-
 żała artykuł za zły Tymczasem wszyscy wstali, pod
 przenikliwym spojrzeniem księcia, który zdawał się
 liczyć wstających.

Urzednicy, członkowie Instytutu, ambasadoro-
 wie, głosowali przeciw.

Rzekłem do prezydenta Franck-Carré, siedzące-
 go obok mnie:

— Jest to walka odwagi cywilnej z tchórz-
 stwem wojskowem.

Artykuł został przyjęty.

22 czerwca 1847.

Sprawa Girardin'a w Izbie Parów. Uwolnienie.
 Głosowano galkami: białemi za skazaniem — czarne-
 mi za uwolnieniem. Okazało się na 199 głosują-
 cych 65 białych i 134 czarne. Rzekłem, kładąc mo-
 ją galkę do urny:

— Bielimy go, czerniąc.

A kiedym pytał pani D...

— Dlaczego Girardin i minister nie odwołają się do wyroku sądu—odpowiedziała mi:

— Bo Girardin nie czuje się dość silnym, a minister dość czystym.

PP. de Montaliver i Molé, i parowie z zamku głosowali, rzecz dziwna, za Girardin'em, przeciw rządowi.

Gdy się o rezultacie dowiedział p. Guizot w Izbie posłów, zdawał się być wściekłym.

Jeden z deputowanych rzekł mu:

— A adjutanci, którzy przeci panu głosowali?...

28 czerwca 1847.

Przybywszy do izby, zastałem Franck- Carre'go w wielkiem wzburzeniu.

Trzymał w ręku prospekt win szampańskich, podpisany przez hrabiego de Mareuil i ozdobiony płaszczem parowskim, koroną hrabiowską i herbami de Mareuil.

Pokazał ten prospekt kanclerzowi, który rzekł:

— Cóż ja na to poradzę!

— Gdyby prosty radca — mówił do mnie Franck - Carré — zrobił coś podobnego w mojem biurze, wiedziałbym jak postąpić. Zwołałbym wydziały i dałbym mu upomnienie descyplinarne,

1848.

Rozprawa nad adresem w biurach Izby Parów.
Należałem do czwartego biura.

Między innemi zmianami, proponowałem taką:

— Było powiedziane: „Nasi książęta! ukochane dzieci wasze spełniają w Afryce obowiązki sług państwa!”

Radziłem zmienić:

„*Książęta!* ukochane dzieci wasze, spełniają w Afryce *swoje* obowiązki sług państwa.“

Te drobne moje żądania wydały się dziką opozycją.

14 stycznia 1848.

Izba Parów nie pozwoliła panu Alton-Shée wymienić nawet nazwy Konwentu.

Powstał straszliwy hałas, wywołany głośnem uderzaniem przecinaczek o pulpity i okrzykami:

— Do porządku!

Mówcę ściągnięto prawie przemocą z trybuny.

Miałem wówczas ochotę zawołać:

— Sami robicie posiedzenie Konwentu; tylko, że z nożami drewnianemi!

Ale powstrzymała mnie myśl, że uwagi tego rodzaju, w owym stanie rozdrażnienia, nie byłiby przebaczyli nigdy, nietylko mnie, co mi było obojętnem, ale prawdom spokojnym, które miałem do powiedzenia i do których przyjęcia mogłem ich skłonić w przyszłości.

II.

1848.

I.

Dni Lutowe.

Dzień 23.

..Gdym przybył do Izby Parów, była punkt trzecia — generał Rapatel, wychodzący z ubieralni, mówi mi:

— Posiedzenie skończone.

Udaję się więc do Izby posłów.

W chwili, gdy kabriolet mój wjeżdżał w ulicę Lille, spostrzegam wysuwający się z ulicy Bellchasse zbity i nieprzebrany tłum ludzi w kamizelkach, bluzach i czapkach robotniczych, zmierzający ku Izbie.

Drugi koniec ulicy zajęty był i zagrodzony szeregi piechoty liniowej, z bronią na ramieniu.

Mijam tłum mężczyzn w bluzach, pomieszanych z kobietami i wołających:

— Niech żyje reforma! Niech żyje wojsko!
Precz z Guizotem!

Stanęli mniej więcej na odległość strzału od szeregów piechoty.

Żołnierze rozstąpili się, aby mnie przepuścić. Śmieli się i rozprawiali. Jakiś młodzieniaszek wzruszał ramionami.

Doszedłem tylko do sali Straconych Kroków¹⁾; Była zapelniona gromadkami zaaferowanych i zaniepokojonych. Thiers, Remusat, Vivien, Morreau (z Constitutionel'u) w jednym końcu; w drugim: Emil de Girardin, d'Alton-Shée, de Boissy, Franck-Carré, d'Houdetot, de Lagrenée. Armand Marrast wziął d'Altona na stronę. Girardin zatrzymał mnie w przejściu, potem d'Houdetot i Lagrenée. Franck-Carré i Vigner przyłączyli się do nas. Rozprawialiśmy. Mówiłem im:

— Gabinet jest ciężko winnym. Zapomniał, że w takich czasach, jak nasze, są przepaści na prawo i na lewo i że nie trzeba rządzić zbyt blisko brzegu. Powiedział sobie: to tylko zamieszka! I niemal sam sobie dał brawo. Zdawało mu się, że się tem powiedzeniem wzmocnił: upadał wczoraj, dziś stoi znów. Ale najprzód, kto to może przewidzieć, jak się skończy zamieszka? Zamieszki wprawdzie wzmocniają gabinety, ale rewolucye przewracają dynastye. A czyż to roztropnie: ryzykować dynastye dla ocalenia gabinetu? Położenie naciągnięte zacisnęło węzeł i niepodobna go dziś rozplątać. Łańcuch może pęknąć i wtedy wszystko pójdzie na cztery wiatry. Lewica manewrowała nieopatrnie, a gabinet wprost szalenie. I tu i tam są odpowiedzialności. Lecz cóż za waryactwo ze strony gabinetu mieszać kwestye policyi

¹⁾ Salle des Pas-Perdus.

z kwestyą wolności, i przeciwstawiać ducha przekory, duchowi rewolucyi! Wygląda on w moich oczach tak, jakby posyłał lwu rozjątrzonemu wezwanie przez komornika, na stemplu. Subtelności p. Héberta—wobec zaburzeń ulicznych! Ładna historia!

Gdym tak mówił, któryś z posłów, przechodząc koło nas, rzekł:

— Marynarka zdobyta.

— Chodźmy zobaczyć! — mówi do mnie Franc d'Houdetot.

Wyszliśmy. Minęliśmy pułk piechoty, zagrazdający wejście na most Zgody.

Konnica najeżdżała wśród placu Ludwika XV na gromady nieruchome i ponure, które jednak za zbliżeniem się szarży, rozpryskiwały się w różne strony.

Na moście pusto. Stoi tylko jeden generał konno, w mundurze, z krzyżem komandorskim u szyi—generał Prévot.

Przejechał koło nas galopem, wołając:

— Atakują!

Gdyśmy doszli do wojska, zajmującego drugi koniec mostu, dowódca batalionu, konno, w burnusie gajonowanym, tęgi, z dzielną miną, uklonił się panu d'Houdetot.

— Cóż się dzieje?—pyta Franc.

— Dzieje się to, że chwała Bogu przybyłem w porę!—Ten to dowódca batalionu opróżnił pałac Izby, którym tłum owładnął od szóstej rano.

Zaszliśmy na plac. W rogu mostu jakiś dragon podnosił szablę na człowieka w bluzie. Zdaje

się, że go nie dosięgnął. Zresztą Marynarka nie była „zdobyta.“

Tłum rzucił kamieniem w okno pałacu, z którego wyglądał jakiś ciekawy Nic więcej.

Ujrzeliśmy powozy zatrzymane i jakby ustawione w barykady w wielkiej alei Pól Elizejskich, na wysokości Okrągłego Placyku (Rond Point). d'Houdetot mówił:

— Tam się zaczyna ogień. Widzisz dym?

— Ba — odpowiedziałem — to para z fontanny.

Ten ogień jest wodą.

I zaczęliśmy się śmiać.

Jednakże była tam utarczka. Lud ustawił trzy barykady z krzesel. Straż policyjna z wielkiego kwadratu Pól Elizejskich przyszła zniszczyć barykady. Lud odparł straż kamieniami i wtłoczył ją napowrót do odwachu.

Generał Prévot posłał oddział gwardyi miejskiej celem opróżnienia budynku. Oddział został otoczony i zmuszony do schronienia się na odwach razem ze strażą.

Wtedy tłum rozpoczął oblężenie.

Jakiś człowiek przystawił drabinę, wszedł na dach, wyrwał chorągiew, podarł ją i cisnął ludowi.

Trzeba było całego batalionu, ażeby odwach oswobodzić.

-- Do dyabła—rzekł Franc d'Houdetot do generała Prévot, który nam opowiedział te szczegóły—sztandar zdobyty!

Generał odpowiedział żywo:

— Zdobyty, nie! Skradziony, tak!

Wtem nadszedł Pèdre Lacaze z Napoleonem

Duchâtel, pod rękę, obaj bardzo weseli. Zapalali swe cygara od cygara Franc'a d'Houdetot, mówiąc:

— Wiecie co? Genoude składa akt oskarżenia sam, na swoją rękę. Nie pozwolono mu podpisać aktu oskarżenia lewicy. Nię chciał, żeby mu kłam zadano i oto ministeryum było wzięte we dwa ognie: na lewo, cała lewica; na prawo pan de Genoude.

Poczem Napoleon Duchâtel dodał:

— Mówią, że Duvergiera de Hauranne noszono w tryumfie!

Wróciliśmy na most. Przechodził Vivien i zbliżył się do nas. W swoim starym kapeluszu z wielkim rondem i w paltocie, zapiętym aż pod szyję, były strażnik pieczęci miał minę policyanta.

— Gdzież idziemy? — rzekł do mnie. — Co się dzieje, to nie przelewki! Nie ulega wątpliwości, że w tej chwili cała maszyna konstytucyjna drży w posadach. Niema już stałego gruntu pod nogami, trzęsie się i skrzypi.

Przesilenie zaś potęguje się tem, że cała Europa jest w porozumieniu.

Podobno z tem wszystkim król ¹⁾ jest spokojny, a nawet wesoly.

— Ale gra to niebezpieczna. Wszystko, co się w nią wygra, pokryje zaledwie stawki.

Vivien opowiedział nam, że król schował do szuflady projekt reformy wyborczej, mówiąc:

— To dla mojego następcy!

¹⁾ Ludwik Filip.

(Przyp. tł.).

— Mówił, jak Ludwik XV-y — dodał Vivier, w przypuszczeniu, że reforma znaczy potop.

Podobno prawdą jest, że gdy p. Sallandrouze przyniósł mu skargi *progresistów*, król przerwał mu nagle pytaniem:

— Sprzedajesz pan dużo dywanów?

Na temże przyjęciu *progresistów*, król spostrzegłszy pana Blanqui, zbliżył się do niego uprzejmie:

— No i cóż, panie Blanqui, co tam mówią? Co się dzieje?

— Najjaśniejszy panie—odrzekł Blanqui—muszę powiedzieć królowi, że w departamentach, a szczególnie w Bordeaux są rozruchy.

— Ach, jeszcze rozruchy—przerwał król.

I odwrócił się od Blanqui'ego.

Dalszy ciąg rozmowy przerywa naraz Vivien:

— Czekaście, zdaje mi się, że słyszę strzały karabinowe!

Jakiś młody oficer generalnego sztabu zwrócił się z uśmiechem do generała d'Houdetot, pytając:

— Mój generale, długo tam tego jeszcze będzie?

— Albo co?

— Bo mam obiad proszony na mieście—objaśnił oficer.

W tej chwili grupa kobiet w żałobie i czarno ubranych dzieci przechodziła szybko po drugim chodniku mostu. Mężczyzna trzymał za rękę najstarsze z dzieci. Przypatrzyłem się i poznałem księcia de Montebello.

— Patrz! — rzekł d'Houdetot — minister marynarki.

Podbiegł i rozmawiał przez chwilę z panem de Montebello.

Księżna była w strachu i cała rodzina skierowała się na lewy brzeg Sekwany.

Wróciliśmy do pałacu izby, Vivien i ja. D'Houdetot odszedł.

W jednej chwili otoczono nas. Boissy mówił do mnie:

— Nie byliście w Luksemburgu? Próbowałem mówić o położeniu, w jakim się Paryż znajduje. Zakrzyczano mnie. Zaledwie usлыszano wyrazy: „stolica w niebezpieczeństwie,“ przerwano mi, i kanclerz, który umyślnie przyszedł prezydować, przywołał mię do porządku. A wiecie, co mi powiedział Gourgaud? „Panie Boissy, mam sześćdziesiąt armat, razem z należącemi do nich powózkami, które są pełne kartaczów. Ja sam je napelniałem!“ Odpowiedziałem: Generale, jestem zachwycony z poznania tajemnych myśli Zamku.

Duvergier de Hauranne bez kapelusza, z głową nastroszoną, blady, ale zadowolony, przechodził w tej chwili i wyciągnął do mnie rękę.

Porzuciłem Duvergiera i wszedłem do Izby.

Dyskutowano tam w dalszym ciągu prawo o przywilejach Banku w Bordeaux. Jakiś człeczyna, przez nos mówiący, zajmował trybunę, a p. Sauzet czytał artykuły prawa z miną zaspaną. Pan de Belleyme, wychodzący w tej chwili, uściśnął mi rękę, mówiąc:

— Niestety!

Wielu deputowanych zbliżyło się do mnie, pp.: Marie, Roger (du Loiret), de Remusat, Chambolle i inni. Opowiedziałem im o wyrwaniu chorągwi, jako o fakcie groźnym ze względu, że działo się to „na gładkiej drodze.“ Jeden z nich odpowiedział:

— Najgroźniejszym jest to, że nie jest to fakt oderwany. Tej nocy kilkanaście bogatych domów paryzkich znaleziono poznaczonych krzyżami na drzwiach, między innymi pałac pani de Talhouët.

— Jesteś pan tego pewnym?—spytałem.

— Widziałem sam krzyż na drzwiach pani de Liéven.

Prezydent Franck-Carré spotkał dziś rano pana Duchâtel.

-- I cóż?—spytał tenże.

— Wszystko dobrze—odpowiedział minister.

— Cóż zrobicie z zamieszka?

— Pozostawiam ją na schadzce, jaką sobie sama wyznaczyła. Cóż oni tam mogą zrobić na placu Ludwika XV i na Polach Elizejskich? Pada deszcz. Będą dreptali po błocie cały dzień. Wieczorem będą mieli tego dosyć i pójdą spać.

P. Stefan Arago, wchodzący w tej chwili, nie zatrzymując się, rzucił nam te słowa:

— Już jest siedmiu rannych i dwóch zabitych! Są barykady na ulicach Beaubourg i Saint-Avoye.

Po zawieszeniu posiedzenia przybywa Guizot. Wchodzi na trybunę i oznajmia, że król wezwał p. Molé i powierzył mu misję utworzenia gabinetu.

Okrzyki tryumfu opozycji, okrzyki oburzenia większości.

Posiedzenie kończy się wśród straszliwego zgiełku.

Wyszedłem razem z innymi posłami i wracałem brzegiem rzeki.

Na placu Zgody ciągle jeszcze szarżowała konnica. Próbowano w dwóch miejscach zabarykadować ulicę św. Honoryusza. Na sąsiednim targu powyrywano bruki. Wojsko podnosiło omnibusy, które przewracano na barykady. Na ulicy św. Honoryusza tłum przepuścił gwardyę miejską, a potem obrzucił ją kamieniami z tyłu.

Na bulwarze nad brzegiem roilo się ludzi jak mrowia, gniewny szmer dolatywał od tłumy. Widziałem bardzo ładną kobietę w zielonym, aksamitnym kapeluszu, z wielkim szalem, idącą wśród gromady bluz i gołych ramion. Starannie unosiła swoją suknię z powodu błota, i była bardzo zaszargana, padało bowiem co chwila.

Tuilerye były zamknięte. Przy bramie Carrousel'u tłum stał i przypatrywał się przez arkady konnicy, rozmieszczonej w szyku bojowym przed pałacem.

Koło mostu Carrousel spotkałem Juliana Sandeau. Pytał mnie:

— Cóż pan o tem myślisz?

— Że ruchawka będzie pokonana, ale że rewolucya zwycięży.

Na Quai de la Ferraille inne spotkanie. Ujrzałem przed sobą mężczyznę, zabloconego po uszy, z krawatem wiszącym, w kapeluszu zmiętoszonym.

Poznałem w nim mego dobrego przyjaciela, Antoniego Thouret.

Thouret jest gorącym republikaninem. Chodził od rana z dzielnicy do dzielnicy, przemawiając od gromady do gromady. Pytam go:

— Powiedz mi, czego wy ostatecznie chcecie? Czy republiki?

— O! nie—rzecze—nie teraz, jeszcze nie. Ale chcemy reformy, i nie tylko praw, o ba! prawa — nam trzeba całkowitej reformy, rozumiesz mnie? A choćby i głosowania powszechnego?

— To i dobrze! — odrzekłem, ściskając dłoń Thouret'a.

Przez całą długość wybrzeża snuły się patrole, a tłum krzyczał: Niech żyje wojsko! Sklepy były pozamykane, a okna pootwierane.

Na placu Châtelet słyszałem człowieka, mówiącego do gromady:

— To rok 1830!

Skręciłem ku Ratuszowi przez ulicę de Saint-Avoye.

W Ratuszu wszystko spokojne.

Dwaj gwardziści narodowi stali przed kratą, a na ulicy Saint-Avoye barykad nie było.

Na ulicy Rambuteau kilku gwardzistów przechodziło się tam i napowrót przy szablach.

W dzielnicy du Temple bębniiono do apelu.

Aż do tej chwili rząd próbował obejść się bez gwardyi narodowej. Byłoby to może rozsądnie. Gwardya narodowa w wielkiej liczbie miała przyjąć

udział w uczcie ¹⁾). Dziś rano postój gwardyi w Izbie postów odmówił wyruszenia na ulicę. Mówią, że jeden gwardzista z 7-ej legii został zabity w chwili, gdy starał się pośredniczyć między tłumem a wojskiem.

Ministryum Molé'go nie było oczywiście Reformą, ale ministryum Guizot'a było tak długo zaporą Reformy. Zapora została złamana i to wystarczyło, aby ukoić, aby zadowolić dziecięcą duszę tego szlachetnego ludu.

Wieczorem Paryż był pełen radości; ludność wyległa na ulice; zewsząd dolatywał odgłos popularnej zwrotki: *Des lampions! Des lampions!* W jednej chwili w całym mieście zajaśniała illuminacya, jakby w wielkie święto.

Na placu Królewskim przed merostwem, o dwa kroki od mego domu, zgromadzał się tłum, coraz to gęściejszy, coraz to głośniejszy.

Oficerowie i gwardziści narodowi, aby odsłonić merostwo, wołali:

— Do Bastylii!

I trzymając się pod ręce i stanawszy na czele kolumny, pomaszrowali. A tłum za nimi deklamując wesoło:

— Do Bastylii! Do Bastylii!

¹⁾ W owym czasie w całej Francyi towarzystwa demokratyczne urządzały szereg bankietów dla celów propagandy. Jeden z takich bankietów miał się odbyć w Paryżu 22-go lutego i właśnie zbyt gwałtowne wystąpienie rządu, który nie pozwolił na odbycie uczty, było punktem wyjścia dla zbiegowisk d. 23-go, a tem samem dla wybuchu rewolucyi. (Przyp. tł.).

Orszak ten okrążył kolumnę lipcową z okrzykiem: „Niech żyje Reforma! pozdrowił wojsko, stojące na placu nieruchomo, wołając: „Niech żyje armia!“ i sunął ku przedmieściu św. Antoniego.

W godzinę potem tłum wracał znacznie większy, już z pochodniami i sztandarami, i cisnął się ku Wielkim Bulwarom, z zamiarem okrążenia wybrzeży, roznosząc po całym mieście radość ze zwycięstwa.

W tej chwili bije północ. Wygląd ulic zmienił się. Ulica Marais ponura, przechadzałem się po niej i wróciłem. Na bulwarze Bourdon, tak dobrze nazwanym „czarnym bulwarem,“ latarnie powywracane i pogaszone. Sklepy tego wieczoru otwarte były tylko na ulicy św. Antoniego.

Teatr Beaumarchais'go zamknięty. Ulica Królewska strzeżona, jak obóz. Wojska porozkładane pod arkadami.

Przy ulicy św. Ludwika, w ciemności, poznajesz przyparty do murów milczący batalion piechoty.

W tej chwili, gdy północ wybiła, podnieśliśmy się na balkonie, słuchając. Rozlegał się dzwon alarmowy.

Nie mogłbym zasnąć w łóżku.

Spędziłem noc w moim salonie, pisząc, rozmyślając, nasłuchując.

Od czasu do czasu wyglądałem na balkon, potem chodziłem po pokoju, lub rzucałem się na fotel i drzemałem, niepokoiony gorączkowym marzeniem. Śniło mi się, że słyszałem gniewny pomruk tłumu,

daleki ogień rotowy; że w kościołach bito na alarm we wszystkie dzwony. Obudziłem się i rzeczywiście po raz drugi usłyszałem dzwon alarmowy.

Rzeczywistość przewyższyła w okropności marzenie senne.

Tłum, który widziałem upojony na bulwarach, przez jakiś czas posuwał się w spokoju, śpiewając.

Pułki piechoty, artyleryi, konnicy rozstępowały się przed nim.

Lecz na Bulwarze des Capucines masa wojska, piechoty i kawaleryi, skupiona na obu chodnikach i pośrodku ulicy, strzegła ministerium spraw zagranicznych razem z niepopularną osobą ministra, pana Guizot.

Wobec tej nieprzebytej przeszkody, czoło kolumny ludowej chce się zatrzymać i zawrócić; lecz niepowściągliwy napór dalszych tłumów ciśnie na pierwsze szeregi.

W tej chwili pada strzał nie wiadomo z kąd i jakim sposobem. Dość, że naraz powstaje panika i zamieszanie. Wojsko, w przekonaniu napadu, daje ognia. Osiemdziesiąt trupów i rannych zalega ulicę. Podnosi się straszny, ogólny okrzyk: zemsty! Trupy ofiar nakładają na wóz pogrzebowy, oświetlony pochodniami. Tłum zawraca w przeciwną stronę, teraz już ponury i wściekły, roznosząc przekleństwa.

W kilka godzin potem cały Paryż pokryty był barykadami.

Dzień 24.

O świcie widzę z mego balkonu gromady ludu, zmieszane z gwardzistami narodowymi, dążące ku merostwu.

Urzędu tego strzegło trzydziestu gwardzistów municypalnych.

Tłum żąda od nich wydania broni. Gwardya odmawia, tłum grozi i huczy.

Między stronami spornemi ukazują się dwaj oficerowie gwardyi narodowej, którzy przemawiają do żołnierzy:

— Chcecież doprowadzić do rozlewu krwi? Po co, na co? Opór wasz byłby bezcelowym.

Gwardziści municypalni składają broń i ładunki i odchodzą nienapastowani.

Mer VIII okręgu, p. Ernest Moreau, prosi mnie, żebym przyszedł do merostwa.

Udziela mi straszną wiadomość o gwałtach na Bulwarze Kapucynek, a potem co kwadrans nowe napływają wieści, coraz to groźniejsze.

Tym razem gwardya narodowa staje jawnie przeciw rządowi i woła:—Niech żyje Reforma!

Wojsko, przestraszone własnym czynem wczorajszym, zdaje się opierać tej bratobójczej walce. Na ulicy Sainte-Croix-la-Brettonnerie armia cofa się przed gwardyą narodową. Przychodzą nam donieść, że w sąsiednim IX okręgu żołnierze buntują się i odbywają patrole z gwardyą.

Przybywają, jeden po drugim, dwaj inni posłańcy w bluzach:

— Koszary w Reuilly zdobyte!

— Koszary des Minimes poddały się!

— A ja od rządu nie mam ani instrukcyi, ani nowin! — woła zrozpaczony p. Ernest Moreau. — Żebym choć wiedział, kto jest rządem? Czy Ministerjum Mole'go istnieje jeszcze? Co tu robić?

— Chodźmy do prefektury Sekwanny — radzi mu p. Perret, członek Rady Generalnej; — Ratusz o dwa kroki.

— A więc chodźcie za mną.

Poszli. Wychodzę na zwiady, na plac Królewski.

Wszędzie ruch, podniecenie, niepokój, gorączkowe wyczekiwanie. Wszędzie pracują nad wzmocnieniem barykad i tak bardzo groźnych.

To jest coś więcej, niż zamieszka — to jest powstanie.

Wracam. Żołnierz z piechoty, stojący na warcie u wejścia placu Królewskiego, rozmawia przyjaźnie z placówką barykady, zbudowanej o dwadzieścia kroków od niego.

Ernest Moreau wrócił z Ratusza o kwadrans na dziewiątą. Widział pana de Rambuteau i przy-

nosi nieco lepsze nowiny. Król powierzył utworzenie gabinetu Thiersowi i Odilon Barot'owi.

Thiers nie jest bardzo popularnym, ale Odilon Barot, znaczy Reformę. Na nieszczęście, ustępstwo to zmniejsza pogródka: marszałkowi Bugeaud powierzono naczelne dowództwo nad gwardyą narodową i nad armią. Odilon Barot — to Reforma, ale Bugeaud—to ucisk. Król wyciąga prawą rękę, pokazując pięść lewą.

Prefekt prosił pana Moreau, żeby ogłosił i upowszechnił tę wiadomość w swojej dzielnicy i na przedmieściu Św. Antoniego.

— Tak też uczynię—mówi mer.

— Dobrze! — odpowiadam — ale wierz mi pan: ogłoś ministerium Thiersa i Barrota, ale zamilcz o marszałku Bugeaud.

— Masz pan słusność.

Mer przywołał do siebie oddział gwardyi narodowej, wziął dwóch adjunktów, oraz obecnych radców miejskich i wyszedł na Plac Królewski.

Na odgłos bębna ludność zaczęła się zbiegać. Ogłosił nowy gabinet. Lud zaczął klaskać, wołając:

— Niech żyje Reforma!

Mer dodał kilka słów, zalecających spokój i porządek, i jeszcze raz doznał owacyi.

— Wszystko ocalone — mówił ściskając dłoń moją.

— Tak—odrzekłem—jeśli Bugeaud zrzeknie się roli ocalającego.

Moreau, razem ze swym orszakem, poszedł po-

wtarzać obwieszczenie na placu Bastylii i na przedmieściu, a ja wróciłem do domu uspokoić swoich.

Pół godziny potem mer i jego orszak wracali w nieładzie i bardzo wzruszeni do merostwa.

Oto, co się stało:

Plac Bastylii zajęty był na obu końcach wojskiem, które stało z bronią na ramieniu, nieruchomo.

Lud krążył swobodnie między dwoma szpalerami wojska.

Mer, podszedłszy do kolumny lipcowej, wygłosił swoje obwieszczenie i tłum ponownie dał mu brawo.

Wówczas, p. Moreau skierował się ku przedmieściu św. Antoniego. W tejże chwili rzemieślnicy podchodzili przyjaźnie ku żołnierzom, proponując im oddanie broni.

Słyszac wszakże energiczny zakaz kapitana, żołnierze odmawiają. Naraz pada strzał, potem drugi i trzeci, i zdawało się, że się ponowią też same straszne sceny, co wczoraj na Bulwarze Kapucynek. Moreau razem ze swym orszakiem zostaje potracony i przewrócony. Strzaly ponawiają się z jednej i drugiej strony i pada pięć, czy sześć ofiar.

Szczęściem, było to w biały dzień. Na widok rozlanej krwi wśród wojska powstaje reakcja i po chwili zdumienia i przerażenia żołnierze wydają okrzyk: Niech żyje gwardya narodowa! Generał, nie czując się na siłach utrzymania wojska w karbach, zakomenderował marsz ku wybrzeżu, w stronę Vincennes.

Lud pozostał panem Bastylii i przedmieścia.

— Wynik ten mógł kosztować drożej, mnie zwłaszcza—mówił Moreau i pokazał nam swój kapelusz, przestrzelony kulą. — Całkiem nowy kapelusz!—dodał z uśmiechem.

Godzina wpół do jedenastej.

Trzej uczniowie Szkoły Politechnicznej przybyli do merostwa. Opowiadają, że koledzy ich wyłamali drzwi Szkoły i oddali się na usługi ludu. Pевна ich liczba rozdzieliła się wskutek tego po merostwach paryzkich.

Powstanie robi postępy co godzina. Żąda ono obecnie dymisy marszałka Bugeaud i rozwiązania izby. Uczniowie Szkoły idą dalej i żądają abdykacyi króla...

— Co się dzieje w Tuileryach? Brak również nowin z ministerjum, brak rozkazów ze sztabu generalnego. Postanawiam pojechać do Izby, zbaczając najprzód do Ratusza, a Moreau chętnie mi towarzyszy.

Znajdujemy ulicę św. Antoniego nastroszoną barykadami. Dajemy się poznać i powstańcy ułatwiają nam przeprawę przez stosy kamieni kostkowych.

Zbliżamy się do Ratusza, z którego dolatuje nas gwar tłumu i przeszedłszy plac budującego się domu, spostrzegamy biegnącego naprzeciw nas p. de Rambuteau, prefekta Sekwany.

— Hej! a co pan tam robisz, panie prefekcie?—wolał do niego.

— Prefekcie? Alboż ja jeszcze jestem prefektem—odpowiada z krzywą miną.

Gromadki ciekawych, nie czyniących wrażenia zbyt grzecznych, zaczęły się już skupiać koło nas. P. Moreau upatrzył jakiś pusty dom do wynajęcia i wprowadził nas do niego. Wówczas p. de Rambuteau opowiedział nam swoje przygody:

— Siedziałem w moim gabinecie z dwoma, czy trzema radcami miasta. Z korytarza dolatuje gwar. Naraz drzwi otwierają się z hałasem: wchodzi jakiś drab, kapitan gwardyi narodowej, na czele mocno rozjątrzonej gromady.

— Panie — mówi do mnie ów człowiek — masz pan się ztąd wynosić.

— Przepraszam pana, tu, w Ratuszu, jestem u siebie i pozostanę.

— Wczoraj może pan byłeś tu u siebie, ale dziś lud jest w Ratuszu u siebie.

— Ależ...

— Idź pan do okna i spojrzysz na plac.

Plac zapełniały tłumy gwarliwe i gestykułujące, w których pospólstwo, gwardye narodowe i żołnierze mieszały się z sobą. W rękach ludu można było widzieć karabiny żołnierzy. Zwróciłem się ku napaśnikom i powiedziałem im:

— Macie panowie słuszność, jesteście panami.

— A więc, w takim razie — rzecze kapitan — przedstaw mnie pan swoim urzędnikom.

— Tego już za wiele! — odpowiedziałem — tego by tylko brakowało!...

Zabrałem niektóre papiery, wydałem kilka poleceń — i oto mnie widzicie. Ponieważ idziecie do Izby, jeśli istnieje jeszcze Izba, powiecie ministrowi spraw wewnętrznych, jeśli istnieje taki minister, że

niema już ani Ratusza, ani prefekta, ani prefektury.

Musieliśmy przedzierać się z wielkim trudem przez burzliwy ocean ludzki, zalewający plac przed Ratuszem.

W nadbrzeżnej ulicy de la Mégisserie wznosiła się olbrzymia barykada; dzięki wstędze mera, pozwolono nam przejść. Po za barykadą wybrzeża były prawie puste. Dostaliśmy się do Izby posłów lewym brzegiem.

W Pałacu Burbonów (Izbie posłów) brzęczało jak w ulu, pełno tam było deputowanych, parów i wyższych urzędników. Z dość licznej grupy doszedł mnie cierpki głos Thiersa:

— A! otóż i Wiktor Hugo!

Zbliżył się ku nam, pytając o nowiny z przedmieścia św. Antoniego. Dodaliśmy do nich wiadomości z Ratusza: Thiers ponuro potrząsał głową.

— A tu co?—spytałem.—Przedewszystkiem, czy jesteś pan jeszcze ministrem?

— Ja? Ach, już mnie przegoniono, dawno przegoniono! W tej chwili Odilon Barrot jest prezesem ministrów i ministrem spraw wewnętrznych.

— A marszałek Bugeaud?

— Zastąpiony również przez marszałka Gérard'a. Ale to jeszcze nic. Izba rozwiązana; król abdykował; jest na drodze do Saint-Cloud. Księżna Orléanu jest Regentką. A! fala rośnie, rośnie, rośnie...

Thiers radził nam porozumieć się, panu Moreau i mnie, z Odilon'em Barrot. Nasza czynność w naszej, tak ważnej dzielnicy, mogła być wysoce użyte-

czną. Wybraliśmy się przeto w drogę do ministerjum spraw wewnętrznych.

Lud opanował ministerjum i zajął nawet gabinet ministra, przez który przelewały się tam i napowrót tłumy, nieskłonne do uszanowania czegokolwiek.

Przy wielkim stole, na środku olbrzymiej sali, pisali sekretarze.

P. Odilon Barrot z zarumienioną twarzą, zaciśniętymi usty, z rękami założonemi w tył, stał oparty plecami o kominek. Spostrzegłszy nas, rzekł:

— Wiecie o wszystkim, nieprawdaż? Król abdykuje, księżna Orleanu Regentką...

— Jeśli lud pozwoli — wtrącił jakiś człowiek w bluzie, przechodzący koło nas.

Minister pociągnął nas ku wglębieniu okna, rzucając dokoła niespokojne spojrzenia.

— Co myślisz pan czynić? Co robisz w tej chwili?—pytam.

— Wysyłam depesze do departamentów.

— Czy to tak pilno?

— Trzeba objaśnić Francycę o tem, co się dzieje.

— Ale w tej chwili co się dzieje, dzieje się przez Paryż, a niestety, nie wiadomo, czy Paryż już skończył swoją robotę. Regencya, dobrze, ale trzeba jeszcze, żeby była sankcyonowaną.

— Tak, przez Izbę. Księżna Orleanu powinna zaprowadzić hrabiego Paryża do Izby.

— Jakże? skoro Izba rozwiązana? Jeśli księżna ma iść gdziekolwiek, to chyba do Ratusza.

— Tak pan sądzisz? A czy to będzie bezpiecznie?

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Matka, dziecko! Odpowiadam za lud. Uszanuje on kobietę w Księżnej.

— Skoro tak, idź pan do Tuileries, zobacz księżnę Orleanu, poradź jej, oświeć.

— A czemużby pan sam nie miał iść?

— Przychodzę właśnie ztamtąd. Nie wiadomo, gdzie jest księżna; nie mogłem się z nią widzieć. Ale powiedz jej pan, jeśli ją zobaczysz, że jestem do jej rozporządzenia, że czekam na jej rozkazy. Ach, panie Hugo! oddałbym moje życie za tę kobietę i za to dziecko!

Odilon Barrot jest najzaczniejszym i najbardziej poświęcającym się człowiekiem, jakiego znałem, ale jednocześnie jest on przeciwieństwem męża czynu; we wszystkim, co mówił, w każdym jego spojrzeniu, w całej jego osobie, znać było brak decyzji.

— Słuchaj mnie pan, najważniejszą rzeczą w tej chwili jest, żeby lud wiedział o wielkich zmianach, jakie zaszły, o abdykacyi, o regencyi. Przyrzecz mi, że pójdiesz rozgłosić te nowiny w swoim merostwie, na przedmieściu, wszędzie, gdzie tylko będziesz mógł.

— Zgoda.

Idziemy z p. Moreau w kierunku Tuileries.

Na ulicy Bellechasse galopują konie. Szwadron dragonów przebiega jak błyskawica, jak gdyby uciekał przed człowiekiem, który goni za nim, trzymając w ręku tasak od siekania kapusty.

Tuilerye są jeszcze zajęte przez wojsko. Mer okazuje swą wstęgę i puszczają nas. Przy drzwiach bramy szwajcar objaśnia, że Księżna Orleanu, w towarzystwie księcia de Nemours opuściła pałac, udając się prawdopodobnie do Izby Posłów.

Należało więc iść dalej.

Przy wejściu na most du Carrousel kule zaczynają nam świstać koło uszu. To powstańcy z placu strzelają ku powozom dworskim, wyjeżdżającym z małych stajni. Jeden stangret zabity, spada z kozła.

— Byłaby głupia historia — mówił Moreau — gdybyśmy się dali zabić w charakterze ciekawych. Przejdźmy na drugą stronę rzeki.

Przechodzimy wzdłuż Instytutu i wybrzeża Mennicy. Przy Nowym Moście mijamy się z gromadą uzbrojoną w piki, siekiery i strzelby, prowadzoną, z bębniem na czele, przez człowieka wywijającego pałaszem i przybranego w galową liberyę królewską. Było to ubranie stangreta, zabitego przy ulicy Saint-Thomas-du-Louvre.

Przybywszy na Plac Królewski, spostrzegamy, że zajmuje go tłum niespokojny.

Natychmiast otaczają nas, wypytują i ledwie z wielkim trudem docieramy do merostwa.

Masa ludu jest zbyt gęsta, żeby można było przemawiać do niej z placu. Wchodzę więc z merem, kilku oficerami gwardyi narodowej i dwoma uczniami Szkoły Politechnicznej na balkon merostwa. Podnoszę rękę, robi się cisza, jak na zakłęcie, i zaczynam mówić:

— Moi przyjaciele, czekacie na nowiny. Oto

co możemy wam powiedzieć: pan Thiers nie jest już ministrem, marszałek Bugeaud nie jest komendantem (*Oklaski*). Zastąpieni są przez marszałka Gérard'a i przez Odilona Barrot (*Oklaski, ale rzadsze*). Izba jest rozwiązana. Król abdykował (*Aklamacya powszechna*). Księżna Orleanu jest Regentką (*kilka odosobnionych oklasków wśród głuchych pomruków*).

Mówię dalej:

— Nazwisko Odilona Barrot jest dla was poręczeniem, że nastąpi jaknajszersze odwołanie się do narodu i że otrzymacie rząd reprezentacyjny, w najszerszej formie.

Z kilku stron dochodzą nas oklaski, ale zarazem jest rzeczą oczywistą, że tłum pozostał w niepewności i że nie jest zadowolony.

Cofamy się do sali merostwa.

— Trzeba teraz—mówię do p. Moreau—iść na plac Bastylli, powtórzyć ogłoszenie.

— Widzisz pan dobrze, że to na niewiele się przyda—odpowiada Moreau ze smutkiem.—Regencya nie zrobiła wrażenia. A mówiłeś pan tu, gdzie cię znają, gdzie cię kochają! Na placu Bastylli znajdziesz zreweltowany tłum przedmieść, który może cię przyjąć wcale nieosobliwie.

— Z tem wszystkim pójdę, przyrzekłem Barrot'owi.

— Mam już inny kapelusz — wtrącił z uśmiechem Moreau — ale przypomnij pan sobie mój poranny...

— Rano wojsko i lud stali naprzeciw siebie, była więc obawa starcia; w obecnej zaś chwili lud jest sam, lud jest panem...

— Panem, i to nieprzychylnym, strzeż się więc!

— Mniejsza z tem! Przyrzekłem i dotrzymam. Powiedziałem merowi, że jego miejsce w merostwie i że powinien tu zostać. Lecz wielu oficerów gwardyi narodowej zgłosiło się dobrowolnie z chęcią towarzyszenia mi, a między nimi poczciwy p. Launay, mój dawny kapitan.

Przyjąłem ich ofiarę i całą bandę ruszyliśmy przez ulicę Pas-de-la-Mule i Bulwar Beaumarchais'ego na plac Bastylli.

Tam znaleźliśmy tłum gorąco usposobiony, w którym panowali rzemieślnicy. Wielu uzbrojonych w karabiny, zabrane wojsku z koszar. Krzyki i śpiew Żyrodystów: *Mourir pour la patrie!* Liczne grupy dysputujących i kłócących się zawzięcie. Zwracają się ku nam, przypatrują, pytają: A co tam nowego? I idą za nami. Słyszę moje nazwisko, wymawiane w różnym nastroju: Wiktor Hugo! To Wiktor Hugo! Niektórzy kłaniają mi się.

Gdyśmy stanęli u stóp kolumny lipcowej, otaczał nas już orszak zbity. Włazę, ażeby mnie lepiej słyszano, na podstawę kolumny.

Przytoczę z mojej mowy tylko to, co mogło dojść do uszu mojego burzliwego audytorjum. Ryła to nie tyle mowa, ile rozmowa, albo raczej utarczka jednego głosu z dziesięcioma, dwudziestoma, stoma, mniej lub więcej nieprzychylnie usposobionymi.

Zacząłem przedewszystkiem od zawiadomienia o abdykacyi Ludwika Filipa, i, podobnie jak na placu Królewskim, oklaski prawie ogólne przyjęły moje

słowa. Co prawda wołano także:—Nie! nie abdykacya! Zrzucenie z tronu! Zrzucenie! Zrzucenie! Staowało się widocznem, że mam twarde orzech do zgryzienia.

Gdym obwieścił Regencyę Księżnej Orleańskiej, ozwały się gwałtowne protesty:—Nie! nie! Nie chcemy Regencyi! Precz z Burbonami! Ani króla, ani królowej! Nie chcemy panów!

Odpowiedziałem:

— Nie chcecie panów! I ja ich nie chcę, na równi z wami; bronilem całe życie wolności...

— Czemuż więc ogłaszasz pan Regencyę?

— Bo Regentka nie jest panem. Zresztą nie mam żadnego prawa proklamowania Regencyi, obwieszczę ją tylko.

— Nie! Nie! Nie chcemy Regencyi!

Jakiś człowiek w bluzie zawołał:

— Milczeć, panie parze Francyi! Precz z parami Francyi!

I zaczął mierzyć do mnie swoją strzelbą.

Patrzyłem mu bystro w oczy i podniosłem głos tak silnie, że w tłumie przycichło:

— Tak, jestem parem Francyi, i mówię jako par Francyi. Przysiągłem wierność, nie jednej osobie królewskiej, lecz monarchii konstytucyjnej. Dopóki nowy rząd nie będzie ustalony, obowiązkiem moim jest być wiernym temu, jaki jest. A sądziłem zawsze, że lud nie pochwała tych, którzy zdradzają swoje obowiązki!

Rozszedł się w kolo mnie szmer uznania, a nawet tu i owdzie klaśnięto w dłonie. Lecz gdy chciałem mówić dalej:

— Jeśli Regencya...

Zaprzeczenia podwoiły się i na jedno z nich tylko, mogłem dać jaką taką odpowiedź.

Jakiś rzemieślnik zawołał:

— Nie chcemy, żeby nami rządziła kobieta!

Odparłem żywo:

— I ja też nie chcę być rządzony przez kobietę, ani nawet przez mężczyznę. Właśnie dlatego, że Ludwik Filip chciał rządzić, dlatego dziś abdykacya jego stała się konieczną i słuszną. Ale kobieta, panująca ¹⁾ w imieniu swego dziecka nie jestże to gwarancya przeciwko wszelkiej myśli rządów osobistych? Weźcie królowę Wiktoryę w Anglii...

— My tam jesteśmy Francuzi! — wołano. — Nie chcemy Regencyi!

— Nie chcecie Regencyi? A więc co? Nic nie jest gotowe, nic! Jestto przewrót zupełny, ruina, nędza, wojna domowa może; w każdym razie nikt nie wie, co będzie...

W tem miejscu odezwał się jeden głos, jeden jedyny:

— Niech żyje Republika!

Ale nikt za nim tego okrzyku nie powtórzył.

Biedny ten wielki lud, nieświadomy i ślepy! Wie, czego nie chce; ale nie wie, czego chce!

W tej chwili hałas, krzyki, pogroźki doszły do takiej siły, że zrezygnowałem z dalszego ciągu mowy. Mój dzielny Launay odezwał się do mnie:

¹⁾ W umyśle Francuza istnieje przeciwieństwo między pojęciem panowania a rządzenia: król panuje, ale nie rządzi (*le roi règne, mais ne gouverne pas*). (Przyp. Tł.)

— Zrobileś pan, coś chciał, coś obiecał; nie mamy tu nic więcej do roboty.

Tłum rozstał się przed nami, ciekawy ale niegroźny.

Zaledwieśmy jednak odeszli ze dwadzieścia kroków od kolumny, człowiek, który mi przedtem groził strzelbą, wziął mnie znów na cel, wołając:

— Śmierć parowi Francyi!

— Nie! szanuj wielkiego człowieka! — zawołał jakiś młody rzemieślnik i szarpnął strzelbą ku ziemi.

Podziękowałem zdala ręką temu nieznanemu przyjacielowi i poszliśmy dalej.

W merostwie p. Ernest Moreau, który, jak się okazało, bardzo był o nas niespokojny, przyjął nas z radością i winszował mi serdecznie. Ale ja wiedziałem, że nawet w namiętności lud ten jest sprawiedliwym i nie przyznawałem sobie najmniejszej zasługi, skorom nie miał najmniejszej obawy.

Gdy się to odbywało na placu Bastylii, oto co się działo w pałacu Burbonów:

Jest w tej chwili człowiek, którego imię spotyka się na wszystkich ustach, a myśli we wszystkich duszach: jest nim Lamartine. Jego wymowna i pełna życia *Historja Żyrodystów* po raz pierwszy opowiedziała Rewolucję Francuzom. Dotychczas był tylko cenionym, teraz stał się popularnym i, rzecz można, iż trzyma on Paryż w swoim ręku.

W ogólnym chaosie wpływ jego mógł się stać decydującym. Zorientowano się co do tego w *National'u*, w którym zaczęto ważyć szanse republiki

i gdzie naszkicowano projekt rządu tymczasowego, chociaż bez udziału Lamartine'a.

W r. 1842 w czasie dysput o Regencyę, skończonych wyborem księcia de Nemours, Lamartine popierał gorąco księżnę Orleanu. Czy był i teraz podobnie usposobiony? Czego teraz chce, coby uczynił? Należało o tem wiedzieć.

P. Armand Marrast, redaktor naczelny *National'u*, wziął z sobą trzech zdeklarowanych republikanów: pana Bastide, wydawcę Hetzel'a i pana Bocache, wybitnego artystę dramatycznego, który stworzył rolę Didiera w *Marion de Lorme*. Wszyscy czterej udali się do Izby Posłów. Zastali tam Lamartine'a i wzięli go na konferencyę do jednego z bocznych pokojów.

Mówili jeden po drugim, wypowiedzieli swoje przekonania i swe nadzieje: byłiby szczęśliwi, gdyby mogli myśleć, że Lamartine jest z nimi, w kwestyi natychmiastowego urzeczywistnienia Republiki. Gdyby wszakże był zdania, że przejście przez Regencyę jest konieczne, żądaliby od niego przynajmniej, żeby ich wspierał, w zamiarze otrzymania wszelkich możliwych gwarancyj, że nie będzie zwrotu wstecz. Czekali, nie bez wzruszenia, na to, co im odpowie Lamartine.

Lamartine słuchał w milczeniu ich wywodów, wreszcie poprosił, żeby mu pozwolili skupić myśli przez chwilę.

Usiadł na uboczu przed stołem, objął czoło dłońmi i myślał.

Tamci czterej stali przez ten czas w milczeniu, przypatrując się Lamartinowi z respektem.

Uroczysta to była chwila. — „Słyszeliśmy przechodzącą koło nas Historyę“ — mówił mi potem Bocage.

Lamartine podniósł głowę i rzekł:

— Będę zwalczał Regencyę.

W kwadrans potem, księżna Orleanu przybyła do Izby, trzymając za ręce obu swoich synów: hrabiego Paryża i księcia de Chartres. Odilon Barrot nie był przy niej. Towarzyszył jej książę de Nemours.

Deputowani przywitali ją aklamacyą. Lecz, ponieważ Izba była rozwiązana, czyż to byli deputowani?

P. Crémieux wszedł na trybunę i proponował uznanie rządu tymczasowego. Odilon Barrot, po którego posyłano do ministerjum, ukazał się wreszcie i przemówił za Regencyą, ale niezbyt gorąco.

Naraz fala narodu i gwardyi republikańskiej z bronią i sztandarami wdarła się do sali.

Księżnę Orleanu razem z dziećmi uprowadzili przyjaciele.

Wówczas Izba Posłów rozplynęła się w powodzi, niby jakiegoś nowego zgromadzenia rewolucyjnego.

Do tego tłumu przemawiał Ledru-Rollin. Potem wystąpił Lamartine, oczekiwany i oklaskiwany. Zwalczał, według obietnicy, Regencyę.

Wszystko było powiedziane. Nazwiska proponowanych członków Rządu Tymczasowego rzucono ludowi, a on okrzykami *tak* lub *nie* odbywał głosowanie. W ten sposób zostali wybrani kolejno: La-

martine, Dupont de L'Eure, Arago i Ledru-Rollin, jednomyślnie; Crémieux, Garnier-Pagès i Marie, większością głosów.

Nowi władcy ruszyli natychmiast w drogę do Ratusza.

W Izbie Posłów, w rozprawach mówców, nawet w mowie Ledru-Rollin'a, wyraz *Republika* nie był wcale wypowiedziany. Ale teraz, po za Izbą, na ulicach, ten wyraz, ten okrzyk, wybrańcy ludu spotykali na każdym kroku, wybiegał on ze wszystkich ust, wypełniał powietrze Paryża.

Siedmiu ludzi, którzy w tych dniach wzniosłych i krańcowych, trzymali w swych rękach los Francyi, byli sami zarazem młotem i kowadłem w rękach tłumu—co nie oznacza narodu, i losu — co nie znaczy Opatrzności. Pod naciskiem mas, w olśnieniu i w grozie swego tryumfu, który ich zalewał, ustanowili rzeczpospolitą, nie mając nawet czasu do zastanowienia się nad wielkością dzieła.

Gdy rozdzieleni i rozproszeni gwałtownem pchnięciem fali ludu, mogli znów odnaleźć się i złączyć, albo raczej ukryć, w jednej z sal ratuszowych, wzięto ćwiartkę papieru z drukowanym nagłówkiem: *Prefektura Sekwany. Gabinet Prefekta* (drugą ćwiartkę oddartą od arkusza zużytkował prawdopodobnie p. de Rambuteau dziś rano, na liścik miłosny do jednej z tych, które nazywał „swemi małemi mieszczkami”), i Lamartine nakreślił na niej następujące zdanie, pod dyktandem strasznych krzyków z ulicy:

„Rząd tymczasowy oświadcza, że rząd tymczasowy Francyi jest rządem republikańskim, i że naród

zostanie niezwłocznie wezwany, do uprawomocnienia uchwały rządu tymczasowego i ludu paryzkiego“.

Miałem w ręku ten dokument, tę kartkę pobrudzoną i poplamioną atramentem. Gorączka chwili odbija się na niej dziś jeszcze, pulsuje w niej. Wyrazy kreślone gwałtownie, zaledwie są wykończone. „Appelée“ ¹⁾ napisano (niewłaściwie) przez dwa l.

Skończywszy te sześć wierszy, Lamartine podał ćwiartkę Ledru-Rollin'owi.

Ten odczytał głośno zdanie: „Rząd tymczasowy oświadcza, że rząd tymczasowy jest rządem republikańskim“.

— Dwa razy „tymczasowy“ — zauważył.

— To prawda — odezwali się inni.

— Trzeba przynajmniej w jednym miejscu wyrzucić — dodał Ledru-Rollin.

Lamartine zrozumiał doniosłość tej gramatycznej uwagi, która była ni mniej, ni więcej, tylko rewolucją polityczną.

— Należałoby jednak poczekać na sankcyę kraju — rzekł.

— Obejdę się bez uchwały Francyi, skoro mam uchwałę ludu — zawołał Ledru-Rollin.

— Ludu Paryża. Ale któż może wiedzieć w tej chwili, jaką jest wola ludu Francyi? — zauważył Lamartine.

Nastalo milczenie. Tlum szumiał jak morze. Ledru-Rollin podjął:

— Lud chce Republiki, zaraz, nie czekając!

1) La nation sera appelée: naród będzie wezwany, (P.T.)

— Republiki bcz apelacyi? — rzekł Lamartine, kryjąc zarzut w tem tłómaczeniu słów Rollin'a.

— My jesteśmy tymczasowi, my — odparł ten ostatni — ale Republika nie!

P. Crémieux wziął pióro z rąk Lamarine'a, wykreślił słowo *tymczasowy* w trzecim wierszu i napisał obok: *obecny*.

— Rząd *obecny*? Niechże będzie — rzekł Ledru-Rollin, lekko wzruszając ramionami.

Pieczęć miejska leżała na stole. Od 1830 okręt pływający, pod niebem zasianem liliami, z dewizą: *Praelucent clarius astris*, zniknął z pieczęci miasta. Był to już tylko prosty krążek, woybrażający wielkie zero i kryjący wewnątrz te tylko słowa: *Miasto Paryż*. Crémieux wziął pieczęć i wycisnął ją u dołu kartki, tak pospiesznie, że wyszła odwrotnie.

Ale nie podpisali tego brulionu. Odkryto ich; rozkielznany tłum walił we drzwi gabinetu, do którego się skryli. Lud wołał ich, domagał się ich, w sali posiedzeń Rady Miejskiej.

Powitano ich tam okrzykiem:

— Republika! Niech żyje Republika!

Lamartine, zagłuszony najprzód temi okrzykami, zdołał wszakże potężnym swoim głosem uspokoić gorączkę wyczekujących.

Dzięki temu członkowie rządu tymczasowego mogli powrócić na naradę.

Gorętsi chcieli, żeby napisano tak:

„Rząd tymczasowy *ogłasza* Republikę”.

Umiarkowani zaś proponowali:

„Rząd tymczasowy *pragnie* Republikę...”

P. Crémieux poradził i przeprowadził wyrażenie pośrednie:

„Rząd tymczasowy *chce* Republiki...”

Ktoś dodał:

„Z zastrzeżeniem uprawomocnienia przez naród, który niezwłocznie będzie zapytany”.

Nowinę natychmiast ogłoszono, w sali i na ulicy, tłumowi, który chciał słyszeć i słyszał tylko jeden wyraz: *Republika* i przyjął go burzą oklasków.

Zrobiono tedy Republikę. *Alca jacta* ¹⁾, jak mówił później Lamartine.

¹⁾ Kość rzucona.

Dzień 25-go.

...Rankiem, ruch uliczny w merostwie VIII okręgu i w sąsiedztwie był spokojny, i zarządzenia, poczynione wczoraj wieczorem, w porozumieniu z p. Ernestem Moreau, zdawały się zapewniać bezpieczeństwo całej dzielnicy ¹⁾).

Sądziłem, że mogę już opuścić plac Królewski

¹⁾ Wieczorem 24-go w VIII okręgu, zachodziła obawa rozruchów, wprawdzie niepolitycznej natury, ale przez to raczej niebezpieczniejszych. Złoczyńcy i włóczęgi, zjawiający się zawsze z pod ziemi w chwili zamieszek, zaczęli ukazywać po ulicach swoje kajdaniarskie miny. W więzieniu przy ulicy św. Antoniego skazańcy urządzili już bunt, zamykając swoich dozorców. A nie wiadomo było, jaką siłę wezwać na ratunek? Gwardya miejska była rozwiązana, wojsko skonsygnowane w koszarach, co zaś do policyi, to nie wiadomo było, gdzie jej szukać. Wiktor Hugo w przemówieniu, które tym razem było oklaskiwane, powierzył osoby i majątki mieszkańców opiece i poświęceniu samego ludu. Zaimprovizowano rodzaj gwardyi cywilnej w bluzach. Sklepy niewynajęte pozamieniano na placówki tej gwardyi, zorganizowano patrole, porozstawiano czaty. Zbuntowani więźniowie, przerażeni fałszywą pogroźką armat, skierowanych ku wrotom więziennym, poddali się i wrócili do obowiązków,

i skierowałem się ku środkowi miasta razem z moim synem Wiktorem. Pociągało mnie wrzenie ludowe (ludu Paryża!) nazajutrz po rewolucyi.

Czas był ponury i chmurny, ale bez wiatru i deszczu. Ulice przepelnione ludnością, ożywioną i radosną. Z tem wszystkiem podwójnie gorliwie pracowano nad umocnieniem barykad i nad budową nowych. Bandy, z bębniami i sztandarami, krążyły bez ustanku, wołając: Niech żyje Rzeczpospolita! i śpiewając *Marsyliankę* lub *Mourir pour la patrie!* Kawiarnie przepelnione, ale wiele sklepów zamkniętych, jak w święto; i w samej rzeczy wszystko miało pozór świąteczny.

Włócząc się po wybrzeżu, doszedłem aż do Nowego Mostu. Tam ujrzałem na murze przyklepioną proklamacyę z podpisem Lamartine'a i pod jej natchnieniem, skorom już dostatecznie przypatrzył się ludowi, powziąłem myśl zobaczenia mego sławnego przyjaciela. Zawróciłem więc z Wiktorem ku Ratuszowi.

I dziś, podobnie jak wczoraj, na placu było pełno ludzi, a przy samym Ratuszu tłum tak dalece się zacisnął, że nie mógł krążyć. Niepodobna było przecisnąć się do schodów. Po bezskutecznych próbach, gdym już chciał zrezygnować, zostałem spostrzeżony przez p. Froment-Meurice, zlotnika-artystę, brata mego młodego przyjaciela Pawła Meurice. Był kometantem gwardyi narodowej, na służbie, ze swym batalionem przy Ratuszu. Mówię mu o moim kłopotcie.

— Miejsca! — zawołał z przynależną mu powagą. — Miejsca dla Wiktora Hugo!

I mur ludzki rozstał się, nie wiem doprawdy jakim cudem.

Gdyśmy już dosięgli peronu, p. Meurice poprowadził nas przez najrozmaitsze korytarze, schody i pokoje, również zapełnione ludem.

Widząc nas przechodzących, jakiś człowiek wysunął się z gromady i stanąwszy przedemną, rzekł:

— Obywatelu Wiktorze Hugo! wołaj: Niech żyje Republika!

— Nie wołam nic na rozkaz — odrzekłem. — Rozumiesz pan wolność? Ja korzystam z niej i zawołam dziś: niech żyje lud! bo tak mi się podoba. Jeśli kiedy wydam okrzyk: niech żyje Republika! to znaczy, iż wówczas tak mi się będzie podobało.

— Ma rację! Bardzo dobrze powiedział! — mruknęło kilka głosów.

Przeszliśmy. Po dłuższej krętaninie p. Meurice wprowadził nas do małego pokoju i odszedł powiadomić o mojem przyjsciu Lamartine'a.

Szklane drzwi sali, w której znajdowaliśmy się, wychodziły na galeryę, gdzie spostrzegłem przechodzącego przyjaciela mego Dawida d'Angers, wielkiego rzeźbiarza. Zawołałem na niego. Dawid, stary republikanin, był promieniejący.

— A! mój przyjacielu, piękny dzień! — zawołał.

Powiedział mi, że rząd tymczasowy mianował go merem XI okręgu.

— Wezwano pana zapewne w podobnym interesie?

— Nie — odrzekłem — nie byłem wzywany. Przychodzę sam przez się, uściskając dłoń Lamartine'a.

P. Meurice wrócił, mówiąc, że Lamartine czeka na mnie.

Pozostawiłem Wiktora w tej sali, z której go miałem zabrać z powrotem, a sam poszedłem znów za mym uprzejmym przewodnikiem przez różne inne korytarze, prowadzące do wielkiego przedsionka, pełnego ludzi.

— Tlum proszących! — rzekł Meurice.

Rząd tymczasowy przebywał w sąsiedniej sali. Dwóch grenadyerów z bronią u nogi strzegło wejścia, obojętni i głusi na prośby i pogróżki.

Trzeba było rozłamać tę prasę ludzką; jeden z grenadyerów, uprzedzony, uchylił przedemną drzwi: fala oblegających, chcąc skorzystać z okazji, zwała się na grenadyerów, ale ci z pomocą p. Meurice odparli atak i drzwi zamknęły się za mną.

Znalazłem się w obszernej sali, zajmującej róg jednego z pawilonów Ratusza, oświetlonej z obu stron wysokimi oknami. Wolałbym być ujrzeć Lamartine'a samego, ale było tam jeszcze, rozrzuconych po sali, rozmawiających z przyjaciółmi lub piszących, trzech, czy czterech jego kolegów z rządu tymczasowego: Arago, Marie, Armand Marrast.

Lamartine podniósł się na moje spotkanie.

Na surducie, opiętym według zwyczaju, miał szeroką wstęgę trójkolorową. Podszedł parę kroków ku mnie, wyciągając rękę:

— A! przychodzisz pan do nas, panie Wiktorze Hugo! Chlubna to zdobycz dla Republiki.

— Nie tak szybko! mój przyjacielu — odrzekłem, śmiejąc się — przychodzę poprostu do mego przyjaciela Lamartine'a. Nie wiesz pan może, że wczoraj,

gdyś pan zwalczał Regencyę w Izbie, ja bronilem jej na placu Bastylli.

— Wczoraj, dobrze; ale dziś! Nie ma już ani Regencyi, ani Królestwa. Niepodobna, żeby w gruncie rzeczy Wiktor Hugo nie był republikaninem!

— W zasadzie, tak, jestem nim. Rzeczpospolita jest, mojem zdaniem, jedynie racjonalnym rządem, jedynym, godnym narodów. Rzeczpospolita uniwersalna będzie ostatniem słowem postępu. Ale czy godzina jej wybiła dla Francyi? Właśnie dlatego, że pragnę Republiki, pragnę, żeby była trwałą, żeby była stanowczą. Zapytacie się narodu, nieprawdaż? całego narodu?

— Tak jest, całego narodu, niewątpliwie. W rządzie tymczasowym oświadczyliśmy się wszyscy za głosowaniem powszechnem.

W tej chwili Arago zbliżył się do nas z Marrast'em, trzymającym zwój papieru.

— Mój drogi przyjacielu — rzekł Lamartine — wiedz o tem, żeśmy pana mianowali dziś rano mem wiceokręgu.

— I oto jest nominacya, podpisana przez nas wszystkich — dodał Armand Marrast.

— Dziękuję wam — odrzekłem — ale nie mogę przyjąć.

— Dlaczego? — spytał Arago — są to obowiązki niepolityczne i całkiem bezpłatne.

— Przed chwilą dowiedzieliśmy się o zamiarze buntu w więzieniu przy ulicy św. Antoniego — wtrącił Lamartine — postąpiłeś pan lepiej, niż gdybyś był uśmierzył bunt, boś mu zapobiegł. Jesteś kochany i szanowany w swoim okręgu.

— Mój wpływ jest czysto moralny—odrzekłem— i mógłby tylko stracić, stawszy się urzędowym. Zresztą, nie chcę za nic w świecie wywłaszczać pana Ernesta Moreau, który w tych ciężkich dniach sprawiał się lojalnie i odważnie.

Lamartine i Arago nalegali:

— Nie odmawiaj nam pan przyjęcia dyplomu.

— A więc — rzekłem—przyjmuję go dla autografów; ale pozwolicie, że zachowam go w kieszeni.

— Dobrze, zachowaj go pan — wtrącił, śmiejąc się Marrast — ażebyś mógł powiedzieć, że z dnia na dzień byłeś parem i merem.

Lamartine pociągnął mnie ku oknu.

— Chciałem ja dla pana nie merostwa, ale ministerstwa. Wiktor Hugo ministrem oświecenia publicznego rzeczypospolitej! No i cóż, skoro pan mówisz, że jesteś republikaninem!

— Republikaninem... w zasadzie. Rzeczywiście, byłem wczoraj parem Francji, byłem za Regencyą i wierząc, że Republika jest przedwczesną, będę i dziś jeszcze za Regencyą.

— Narody stoją ponad dynastjami—odparł Lamartine—ja także byłem rojalistą.

— Pan byłeś deputowanym, wybranym przez naród; ale ja byłem parem, mianowanym przez króla.

— Król, wybierając pana, w myśl konstytucyi, z pośród jednej z kategorii, w których rekrutowała się Izba Wyższa, chciał tylko przynieść chlubę instytucyi parów i samemu sobie.

— Dziękuję panu — rzekłem — ale pan patrzysz na rzeczy z zewnątrz, ja zaś z własnego sumienia.

Przerwał nam odgłos wielokrotnych strzałów, dochodzących z placu. Kula zabiła jedną z szyb nad naszymi głowami.

— Cóż to ma znaczyć znów? — zawołał z boleścią Lamartine.

Marrast i Marie wybiegli zobaczyć, co się dzieje.

— Ach, mój przyjacielu — zaczął znów Lamartine — jakże ta władza rewolucyjna jest ciężką! Takie są odpowiedzialności i tak nagle, wobec sumienia i wobec historii! Od dwóch dni nie wiem doprawdy jak żyję. Wczoraj miałem zaledwie kilka siwych włosów, jutro będą wszystkie białe.

— Tak, ale spełniasz pan wzniośle obowiązki geniuszu.

W kilka minut potem wrócił Armand Marrast.

— To nie było przeciw nam — rzekł — ale nie umiano mi wyjaśnić dokładnie tej oplakanej utarczki. Zdaje się, że było jakieś nieporozumienie w tłumie, strzały padły, dlaczego? czy przez omyłkę? czy wskutek starcia się republikanów z socyalistami? Nie wiadomo.

— Czy są ranni?

— Tak, nawet zabici.

Nastąpiło przykre milczenie. Wstałem.

— Będziecie musieli zapewne przedsięwziąć jakieś środki ostrożności.

— Ee! jakie środki — rzekł smutnie Lamartine. — Dziś rano postanowiliśmy już mniej więcej to samo, coś pan uczynił w swoim okręgu: gwardya narodowa

uruchomiona; każdy Francuz żołnierzem, a zarazem wyborcą. Ale trzeba czasu, a tymczasem...—wskazał mi przez okno na fale i przypyływy miliona głów:

— Patrz pan, wszak to morze!

Młody chłopiec, niosący coś na tacy, podszedł i szepnął do ucha Lamartine'owi.

— A! bardzo dobrze — rzekł tenże — to moje śniadanie. Chcesz je pan podzielić ze mną, panie Hugo?

— Dziękuję, jestem już dawno po śniadaniu.

— A ja nie i umieram z głodu; zechciej mi pan przynajmniej towarzyszyć przy uczcie, puszczyć pana potem.

Kazał mi przejść do pokoju, wychodzącego na jeden z wewnętrznych dziedzińców.

Młodzieniec o łagodnej powierzchowności, piszący przy stole, podniósł się z zamiarem ustąpienia. Był to młody robotnik, którego Ludwik Blanc oddał na usługi rządu tymczasowego.

— Zostań, Albercie—rzekł Lamartine—nie mam nic tajemnego do mówienia z Wiktorem Hugo.

Pan Albert i ja skłoniliśmy się sobie.

Chłopiec wskazał Lamartine'owi na stole kołtety na glinianej misce, chleb, butelkę wina i szklankę. Wszystko to pochodziło z jakiegoś handlu win w okolicy.

— No, dobrze — rzekł Lamartine — a widelec? a nóż?

— Myślałem, że są tu. I tak ledwo się przestałem z tem wszystkim!

— Ba! na wojnie, jak na wojnie!

Przelamał chleb, ujął kotlet za kostkę i roze-

rwał cielęcinę zębami. Skończywszy, rzucił kość do kominka. Zalatwił się w ten sposób z trzema koltetami i wypił dwie szklanki wina.

— Przyznasz pan, że uczta była prymitywną! Ale zawsze to już lepsze, niż wczorajsza kolacja: mieliśmy wszyscy tylko chleb i ser i piliśmy wodę ze stłuczonej cukierniczki. Co nie przeszkadza, że jakiś dziennik podał podobno opis orgii, wyprawionej wczoraj przez rząd tymczasowy.

Nie zastałem już Wiktora w sali, gdzie miał na mnie czekać. Sądziłem, że zniecierpliwiony powrócił sam do domu.

Zaszedłszy na plac de Grève, znalazłem tłum jeszcze wzruszony i skonsternowany niewytłómaczoną bójką z przed godziny. Widziałem jak nieśli trupa rannego, który tylko co skończył życie. Był to, jak mi powiedziano, piąty z rzędu. Przeniesiono ich podobno, jak innych, na salę św. Jana, gdzie już byli wystawieni wczorajsi zabici, w liczbie przeszło stu.

Okrzyżłem drogę do placu Królewskiego, celem zwiedzenia naszych strażnic. Przed koszarami des Minimes chłopiec lat piętnastu, uzbrojony w wielki karabin piechoty liniowej, odbywał dumnie wartę. Zdawało mi się, że go już był widział dziś rano, lub wczoraj.

— Stoisz pan znów na warcie?—spytałem go.

— Nie znów, ale ciągle; nie przyszli mnie zmienić.

— Cóż znowu! od jak dawna?

— A, będzie już ze siedemnaście godzin!

— Jak to, nie spałeś pan wcale? nie jadłeś?

— Owszem, jadłem.

— A więc chodziłeś po jedzenie?

— O nie! Alboż to placówka opuszcza swoje miejsce? Dziś rano zacząłem wołać do sklepu na przeciwko, że jestem bardzo głodny i przyniesiono mi chleba.

Postarałem się, żeby jak najprędzej zastąpiono dzielne dziecko.

Przybywszy na plac królewski, pytam o Wiktora. Nie wrócił. Dreszcz mnie przeszedł; nie wiem dlaczego widzenie tych trupów, znoszonych do sali św. Jana, przesunęło mi się przed oczyma. Jeśli mój Wiktor znalazł się w tem krwawem zamieszanui!... Podałem w domu jakiś pretekst do nowego wyjścia. Był Vacquerie ¹⁾, wyznałem mu na ucho mój niepokój; postanowił mi towarzyszyć.

Poszliśmy najprzód szukać p. Fromant Meurice, którego sklep mieścił się przy ulicy Lobau, tuż przy Ratuszu, i prosiłem go, żeby mi pozwolił wejść na salę św. Jana.

Próbował najprzód odciągnąć mnie od tego straszego widoku, widział te trupy wczoraj i do tej pory nie może zapomnieć. Zdawało mi się, że nie bez powodu odradza i tembardziej nalegałem; poszliśmy więc.

W wielkiej sali, przemienionej na kruchą pogrzebową, rozłożony był cały szereg trupów, spoczy-

¹⁾ Wielce utalentowany felietonista francuski, później główny kierownik *Rappel'u*. (P. T.)

wających na łóżkach polowych; większość ciał była zmieniona do niepoznania. I tak odbywałem ten ponury przegląd, drżąc na całym ciele, gdy trup wydał mi się młodym szatynem. O! prawda, że straszny był widok tych biednych, pokrwawionych trupów! Ale nie umiałbym go opisać; wiedziałem napewno tylko to, że nie było wśród nich mego syna. Doszedłem nareszcie do ostatniego i odetchnąłem.

Wychodząc z posępnego legowiska, spostrzegam biegnącego do mnie Wiktora, żywego i całego.

Wybiegł on z sali, w której miał na mnie oczekiwać, ułyszawszy strzały; następnie zaś nie mógł już dostać się napowrót i najspokojniej w świecie poszedł odwiedzić przyjaciela.

II.

Wygnanie, ucieczka.

Dnia 24 go lutego księżę i księżna Decazes zostali literalnie wypędzeni z Luksemburga. Przez kogo? Przez mieszkańców samego pałacu, to znaczy urzędników Izby Parów, mianowanych bez wyjątku przez wielkiego referendarza.

W dzielnicy krążyła pogłoska, że parowie mieli się zgromadzić w nocy, że urzędzą kontr-rewolucję, że wydadzą proklamacyę i t. p.

Całe przedmieście św. Jakuba szykowało się do wyprawy na Luksemburg. Ztąd popłoch. Błagano najprzód, potem naciskano, a w końcu zmuszono księcia i księżnę do opuszczenia pałacu.

— Ależ odjedziemy jutro! dziś nie mamy pojęcia gdzie się udać! Pozwólcie nam przenocować!

Nic nie pomogło.

Wypędzeni, poszli spać do jakichś pokojów meblowanych. Nazajutrz schronili się na ulicy Verneuil pod nr. 9.

Pan Decazes był bardzo chory. Poturbowano go

kilka dni temu. Pani Decazes przyjęła swój los wesoło i odważnie, co bywa cnotą kobiet, gdy mężczyźni robią głupstwa.

Ministrowie uciekli, nie bez trudu. Szczególnie zaś pan Duchâtel był w strachu.

Guizot od trzech dni opuścił pałac Kapucynek i osiadł w ministryum spraw wewnętrznych. Mieszkał tam w towarzystwie Duchâtel'a.

24-go lutego pp. Duchâtel i Guizot siedzieli przy śniadaniu, albo raczej mieli siadać do stołu, gdy nadbiegł woźny niezmiernie wystraszony. Czoło kolumny wychodziło właśnie z ulicy Bourgogne. Dwaj ministrowie porzucili stół i ledwie mieli czas uciec przez ogród. Rodziny ich biegly za nimi: młoda małżonka Duchâtel'a, stara matka Guizot'a i dzieci.

Osobliwością powyższego zdarzenia jest to, że śniadanie, zastawione dla Guizot'a, zjadł Ledru-Rollin.

Nie pierwszy to raz to, co przygotowane było dla monarchii, zjadała Republika.

Tymczasem nasi zbiegowie posuwali się ulicą Bellechasse.

Guizot szedł pierwszy, trzymając pod rękę panią Duchâtel, w futrzanym paltocie, szczelnie zapiętym, w kapeluszu, jak zwykle, nasadzonym na tył głowy, jednym słowem, łatwy do poznania.

Na ulicy Hillerin-Bertin pani Duchâtel zauważyła, że ludzie w bluzach dziwnie się przypatrują Guizot'owi. Skłoniła go do wejścia w jakąś bramę. Zdarzyło się, że znała stróżkę domu. Wprowadzoną

Guizot'a do niezajętej izby piątego piętra i tam go ukryto.

Pan Guizot spędził cały dzień w tem ukryciu, ale nie mógł w niem pozostać. Jeden z przyjaciół przypomniał sobie księgarza, wielkiego admiratora Guizot'a, który nieraz zwykł był mawiać, że oddałby życie za „wielkiego człowieka,“ jak go nazywał i że czeka tylko na sposobność. (Nie powiedziano mi nazwiska tego księgarza). Poszedł ktoś poszukać go. Przypomniano mu jego słowa, dodając, że chwila nadeszła.

Dzielny księgarz nie zawiódł oczekiwań. Ofiarował dom swój i ukrywał Guizot'a przez całe dziesięć dni.

Dziesiątego dnia zakupiono osiem miejsc w wagonie kolei północnej. Guizot pojechał na kolej o zmierzchu i w towarzystwie siedmiu osób, które zdecydowały się towarzyszyć mu, dostał się najprzód do Lille, potem do Ostendy, a ztamtąd popłynął do Anglii.

Ucieczka Duchâtela była bardziej skomplikowaną.

Znalazł on sposób zdobycia paszportu agenta Republiki, wysłanego w misyi. Przebrał się, ufarbował brwi, włożył niebieskie okulary i wyjechał z Paryża pocztą.

Dwa razy zatrzymywały go gwardye republikańskie miast, przez które przejeżdżał. Zdobył się na czelność i zagroził ciężką odpowiedzialnością wobec Republiki, opóźniającym go w spełnieniu posłannictwa. Słowo Republika wywarło swój skutek—puszczono go. Republika ocaliła Duchâtel'a.

W ten sposób przybył do któregoś portu (do Boulogne, jeśli się nie mylę), czując, że go ścigają i nie wolny od niepokoju.

Statek miał odpłynąć do Anglii. Duchâtel poszedł do portu w nocy i wszedł na okręt. Już miał się w nim zakwaterować, gdy mu oznajmiono, że nie odpłynie dziś. Mniemał, iż go odkryto i że jest straconym. Tymczasem odjazd był poprostu wstrzymany przez konsula angielskiego, prawdopodobnie w zamiarze ułatwienia ucieczki Ludwikowi Filipowi, w razie potrzeby.

Pan Duchâtel wysiadł na ląd i spędził noc i dzień następny w pracowni pewnej kobiety, malarzki, która była mu oddaną.

Nazajutrz pakuje się na inny statek. Zszedł jak najniżej pod pokład, oczekując chwili odbicia od brzegu. Nie oddychał, bojąc się co chwila poznania i schwytania.

Nareszcie maszyna się rozgrzewa, koła uderzają o fale. Odjazd. Nagle słychać krzyk z wybrzeża i ze statku: stój! stój! I okręt zatrzymuje się. To jakiś oficer gwardyi republikańskiej, który zbyt długo żegnał się z odpływającymi na statku, spostrzegłszy, że ruszono, a nie chcąc pomimowoli znaleźć się w Anglii, podniósł alarm, rodzina zaś odpowiedziała mu z wybrzeża. Wysadzono olicera i statek ruszył na dobre.

Nareszcie więc pan Duchâtel pożegnał Francję, aby wkrótce potem powitać Anglię.

III.

Ludwik Filip na wygnaniu.

3 maja 1848 r.

Rodzina Orleańska w Anglii żyje poprostu w nędzy: dwadzieścia dwie osoby siadają do stołu i piją wodę. Mówię bez przesady. Mają na życie tylko 40,000 liwrów renty, złożonej: z 24,000 franków renty neapolitańskiej, pochodzącej od królowej Maryi Amelii, i procentu od 340,000 fr., które Ludwik Filip przez zapomnienie pozostawił w Anglii w następujących okolicznościach:

Podczas swej ostatniej tryumfalnej podróży w październiku 1848 roku, z księciem Joinville, król otworzył sobie kredyt u pewnego bankiera londyńskiego na 500,000 fr., z tego wydał tylko 160,000 fr. i był bardzo zdumiony, bardzo przyjemnie zdumiony, dowiedziawszy się za przyjazdem do Londynu, że reszta sumy pozostaje do jego dyspozycji.

Rodzinie królewskiej towarzyszy p. Vatout. Mają na wszystkich tylko troje służby, w tej liczbie

jeden tylko służący, przybyły razem z nimi z Tuileries.

W tym stanie огоłocenia, upominali się w Paryżu o zwrot tego, co posiadali we Francyi; ale ich dobra są pod sekwestrem i pozostaną pod nim, mimo reklamacyi, z różnych powodów. Jednym z nich, na który się powoływał rząd tymczasowy, były długie listy cywilnej, wynoszące 30 milionów. Miano szczególne wyobrażenie o Ludwiku Filipie; był on może chciwy, ale napewno nie był skąpy; był to najrozrzutniejszy i najmniej rządny z ludzi; miał długie rachunki i zaległości na wszystkie strony. Winien był stolarzowi 700,000 fr., a dostawcy jarzyn 70,000 za masło.

Nie można więc było zdjąć aresztów i wszystko pozostawało pod pieczęciami wierzycieli, wszystko, aż do dóbr osobistych księcia, księżnej de Joinville, rent, brylantów etc. Nie wyłączając 198,000 fr. będących osobista własnością księżnej Orleanu.

Wszystko, co rodzina królewska otrzymać zdołała, sprowadzało się do inwentarza i przedmiotów osobistej własności, tych przynajmniej, jakie odnaleziono. Ustawiono w sali widowisk w Tuileries trzy długie stoly, na których porozkładano wszystko to, co strony walczące w miesiącu lutym poskładały w ręce zarządzającego pałacem, pana Durand Saint-Amand.

Złożyło się to na dziwaczną mieszaninę: sukien dworskich podartych i poplamionych, wielkich orderów legii honorowej z zabłoconemi wstążkami, gwiazd orderowych zagranicznych, szpad, koron, przybranych brylantami, naszyjników z pereł, jeden naszyjnik Złotego Runa etc.

Każdy z pełnomocników książąt, adjutant lub sekretarz, zabierał, co poznał. Zdaje się, że wogóle mało co odnaleziono. Książę Nemours zażądał tylko bielizny, a przede wszystkim grubych trzewików.

Książę de Joinville powitał w ten sposób księcia de Montpensier:

— A! jesteś pan! Nie zabili pana. Nie miałeś szczęścia!

Gudin, malarz marynarki, powracający z Anglii, widział Ludwika Filipa. Mówi, że król jest bardzo zgnębiony; powiedział mu:

— Nic z tego nie rozumiem. Co się stało Paryżowi? Jakie myśli opętały mózgi paryzkie? Nie wiem. Później przekonają się, że nic nie był winien.

I rzeczywiście, nie był winnym, chociaż był winien wszystkiemu.

Zresztą doszedł do niepojętego optymizmu; zdawało mu się, że jest bardziej królem niż Ludwik XIV i bardziej cesarzem niż Napoleon.

We wtorek 22-go był wesoły, możnaby powiedzieć, do szaleństwa. Ale i tego dnia wyłącznie zajęty był swemi własnymi sprawami i to sprawami najdrobniejszego rodzaju. O 2-ej, gdy rozległy się pierwsze strzały, naradzał się z pp. de Gérante, Seribe i Denormandie, swoimi agentami, w kwestyi korzyści, jakieby można wyciągnąć z testamentu pani Adelaidy ¹⁾.

¹⁾ Mowa tu o Adelaidzie Eugonii Ludwice (1777—1847) siostrze Filipa, zwanej „Egeryą,” ale popularnej wśród Paryżan, z powodu, że na króla oddziaływała w duchu liberalnym.

W środę, o 1-ej z południa, w chwili właśnie, gdy gwardya narodowa stanęła po stronie ludu, decydując o rewolucyi, król wzywał do siebie pana de Hersent, celem zamówienia u niego nie wiem już jakiego obrazu.

Karol X był lynxem ¹⁾.

Zresztą Ludwik Filip w Anglii znosi swój los z godnością. Arystokracja angielska zachowała się bardzo szlachetnie względem niego, ośmiu, czy dziesięciu parów, z pośród najbogatszych, ofiarowało mu listownie swoje zamki i sakiewki do rozporządzenia. Król odpowiedział: „Przyjmuję i zachowuję tylko wasze listy.“

W tej chwili (maj 1848) Tuilerye już naprawiono, a p. Empis mówił mi dziś: zaferteruje się już po nim śladu nie zostanie. Przeciwnie, Neuilly i Palais-Royal są spustoszone. Galerya obrazów w Palais-Royal, dość mierna zresztą, jest niemal zniszczona. Pozostał tylko jeden obraz całkiem nietknięty, portret Filipa Egalité. Byłże to rozmysł ruchawki, albo urągowisko losu? Gwardziści narodowi bawili się i bawią się jeszcze starannem wycinaniem figur, które im się podobają, z obrazów, nie całkowicie spalonych.

¹⁾ Miał wzrok bystry, przewidujący (w porównaniu z Ludwikiem Filipem).

(Przyp. tł)

IV.

Król Hieronim.

Pewnego marcowego poranku r. 1848 widzę wchodzącego do mego salonu, przy ulicy Królewskiej, człowieka średniego wzrostu, mogącego mieć lat sześćdziesiąt pięć lub sześć, w stroju czarnym, z wstążeczką czerwoną i dużą niebieską w butonierce, w spodniach z podkładkami na stopach, w lakierkach i białych rękawiczkach. Był to Hieronim Bonaparte, król Westfalski.

Miał głos łagodny, uśmiech ujmujący, chociaż trochę nieśmiały, włosy gładko przyczesane, szpakowate i coś z profilu cesarskiego.

Przychodził mi podziękować za przypisywane mi umożliwienie jego powrotu do Francji, a zarazem prosić o wyrobienie mu posady naczelnika Instytutu Inwalidów.

Opowiedział mi, że p. Crémieux, członek rządu tymczasowego, mówił mu wczoraj:

— Jeśli Wiktor Hugo zażąda tego od Lamartine'a, to będzie zrobione. Dawniej wszystko zależało

od spotkania się dwóch cesarzów, teraz wszystko zależy od spotkania się dwóch poetów.

Odpowiedziałem królowi Hieronimowi:

— Powiedz pan Crémieux'mu, że to on jest poetą.

W listopadzie 1848, król Westfalski zajmował pierwsze piętro nad antresolą, przy ulicy Algierskiej Nr. 3. Miał on tam mieszkanie, przyozdobione meblami mahoniowymi, z utrechtowem pokryciem.

Salon jego, obity szarym papierem, oświetlony dwiema lampami, zdobił wielki, ciężki zegar w guście cesarstwa i dwa obrazy wątpliwej autentyczności, chociaż na ramie jednego z nich widniał napis: *Titien* a drugiego: *Rembrandt*. Na kominku stał brązowy biust Napoleona, ów biust konwencyonalny, przekazany nam przez cesarstwo.

Jedynie pamiątki królewskiej przeszłości gospodarza domu, stanowiły jego srebra i naczynia kuchenne, zdobne w korony królewskie, bogato wyrzynane i złocone.

W owej epoce Hieronim nie miał więcej jak lat sześćdziesiąt cztery, i nawet na tyle nie wyglądał. Miał oko żywe, uśmiech przyjazny i ujmujący, rękę małą i jeszcze piękną. Nosił się zwykle czarno, z łańcuszkiem złotym przy butonierce, na którym wisiały trzy krzyże Legii honorowej, Korony żelaznej i jego własny order Westfalski, utworzony na podobieństwo Korony żelaznej.

Hieronim mówił dobrze, zawsze z wdziękiem, często dowcipnie. Pełno miał wspomnień i mawiał

o cesarzu, mieszając respekt z braterskimi uczuciami, co było wzruszającym. Nieco próżności przebiła się w jego słowach, a byłbym wolał dumę.

Zresztą, przyjmował dobrodusznie wszystkie te najrozmaitsze tytuły, jakie nań sprowadzało dziwaczne jego stanowisko, człowieka, który nie jest już królem, który nie jest już wygnańcem, nie będąc jednak obywatelem kraju.

Każdy tytułował go, jak chciał. Ludwik Filip nazywał go jego *Wysokością*, p. Boulay de la Meurthe mówił mu: *Najjaśniejszy Panie*, Aleksander Dumas tytułował go *Monseigneur'em*. Ja mówiłem do niego: *Księżę Panie*, a moja żona: *Panie*. On zaś pisał się na biletach: *le général Bonaparte*.

Na jego miejscu byłbym inaczej rozumiał swoje stanowisko. Król lub nic.

Z opowiadań króla Hieronima.

W r. 1847, nazajutrz po powrocie z wygnania do Paryża, Hieronim, nie doczekawszy się swego sekretarza, a nudząc się w domu, wyszedł pod wieczór na miasto.

Był to koniec lata. Mieszkał u swojej ciotki, księżnej Demidow, której pałac przytykał do Pól Eliżejskich.

Przeszedł plac Zgody, przypatrując się z zajęciem posągom, obeliskom, fontanom, wszystkim tym rzeczom nowym dla wygnańca, oddalonego od Paryża przez lat trzydzieści dwa.

Przesuwał się wybrzeżami Tuileryjskimi i zwolna zapadał w stan dziwnego rozmarzenia. Doszedł

szy do pawilonu Flory, otworzył małe drzwiczki w bramie, skręcił na lewo i zaczął wstępować po znanych mu schodkach na górę. Naraz czuje, że go ktoś chwyta za ramię. Był to portyer, który wybiegł za nim:

— Hej, panie! panie! gdzie pan tam idzie?

Hieronim spojrział na niego zdziwiony i odrzekł:

— Ależ do siebie!

Lecz zaledwie wymówił te słowa, zbudził się ze swego marzenia. Przeszłość upoiła go na chwilę. Opowiedzawszy mi to zdarzenie, dodał:

— Odszedłem zawstydzony, przepraszając portyera.

V.

D n i c z e r w c o w e .

(Luźne notatki).

...Powstanie czerwcowe przedstawiło od pierwszej chwili widok szczególny ¹⁾. Okazało ono nagle przerażonemu społeczeństwu postać potworną i nieznaną.

Pierwszą barykadę wzniesiono w piątek rano, 23-go pod bramą Saint-Denis. Zaatakowano ją tegoż dnia. Gwardya Narodowa ruszyła przeciw niej odważnie. Były to bataliony 1-ej i 2-giej Legii, przybywające od strony bulwarów.

¹⁾ W końcu czerwca, w cztery miesiące po ogłoszeniu Republiki, prawidłowa praca ustała i warsztaty, znane pod nazwą Pracowni Narodowych (*Ateliers Nationaux*), zostały zamknięte postanowieniem Zgromadzenia Narodowego. Wówczas nędza wywołała jedno z najstraszniejszych powstań, jakie notowała historia. Władzę piastowała wówczas Komisya Wykonawcza, złożona z członków: Lamartine'a, Arago, Ledru-Rolin'a, Garnier-Pagès'a i Marie. Generał Cavaignac był ministrem wojny.

(Przyp. Aut.)

Gdy się zbliżyły na odległość strzału, ogień rotowy buchnął z barykady, pokrywając bruk gwardzistami.

Wówczas gwardya, podjudzona raczej niż nastrozona, rzuca się pełnym biegiem na barykadę.

W tej chwili, na szczycie barykady ukazuje się postać kobiety, młodej, pięknej, rozczochranej, strasznej. Była to dziewczyna publiczna. Podnosi suknię aż do pasa, wrzeszcząc ku gwardzistom:

— Podli! strzelajcie, jeśli się ośmielicie, w brzuch kobiety!

Walka zaczęła być straszną. Gwardya nie zawahała się. Salwa rotowa zwała nędznicę. Padła, wydając przerażający krzyk.

Nastąpiła chwila ogłuszenia, zarówno na barykadzie, jak i wśród napastujących.

Naraz ukazuje się druga kobieta. Ta była i młodszą jeszcze i piękniejszą; prawie dziecko, co najwyżej lat siedemnastu. Co za straszna nędza! I ta była dziewczyną publiczną! Postąpiła jak jej poprzedniczka, wołając:

— Strzelajcie, rozbójnicy!

Strzelono. Padła podziurawiona kulami, na trupa pierwszej.

Tak się zaczęła ta wojna.

Trudno o coś smutniejszego i bardziej mroźnego serca. Jest coś ohydneho w tym heroizmie obrzydliwości, w którym wybuchła cała siła, jaką tylko słabość rozporządzać mogła; w tej cywilizacji, napastowanej przez cynizm, a bronionej przez barbarzyństwo. Z jednej strony rozpacz ludu, z drugiej rozpacz społeczeństwa.

W sobotę 24-go, o czwartej zrana, znajdowałem się, jako przedstawiciel ludu, na barykadzie placu Baudoyer, bronionej przez wojsko.

Barykada była niską. Druga, wązka i wysoka, osłaniała ją z tyłu. Słońce oświetlało wesoło szczyty kominów. Zakręty ulicy św. Antoniego wydłużały się przed nami w ponurej pustce.

Żołnierze porozkładali się na barykadzie, nie wyższej nad trzy stopy. Karabiny ich sterczały ze szpar między kostkami brukowemi, jak ze strzelnic.

Od czasu do czasu świstały kule, uderzając w mury sąsiednich domów i rozrzucając odłamki gipsu i kamieni. Niekiedy bluza, lub głowa nakryta czapką rzemieślniczą, wychyla się z narożników ulic. Żołnierze puszczali wówczas strzał — jeśli był trafny, bili sobie brawo.

— Dobry! Dobrze dostał! pyszny!

Śmieli się i rozprawiali wesoło.

Chwilami rozlegały się liczniejsze strzały i grad kul padał z odległych dachów i okien na barykadę.

Kapitan, o szpakowatych wusach, wysoki, stał w samym środku rumowiska, przewyższając mur kostek brukowych połową swego ciała. Kule padały koło niego, jak koło tarczy strzelniczej. On stał obojętny i poważny, wołając tylko od czasu do czasu:

— Tam, dzieci! Strzelają! Kładźcie się! Uważaj ty, Lapiraud, głowa ci sterczy! Nabijać!

Naraz, z po za rogu jednej z ulic wychodzi kobieta. Zbliża się wolnym krokiem ku barykadzie.

Żołnierze wybuchają przekleństwami i ostrzeżeniami:

— A! klempo! pójdiesz ty precz, małego jedna! Ruszajże się, chorobo! Ona się rozgląda! to szpieg! Zgolić ją!

Kapitan wstrzymał ich:

— Nie strzelajcie! To kobieta!

Kobieta, która w samej rzeczy zdawała się śle dzić, weszła, zrobiwszy ze dwadzieścia kroków, w małą bramkę, która się za nią zatrzasnęła.

Ta ocalała.

O jedenastej, wracając z barykady placu Baudoyer, zająłem moje zwykłe miejsce w Zgromadzeniu Narodowym.

Jeden z posłów, przedtem mi nieznany, a o którym dowiedziałem się później, że się nazywał Belley, inżynier, zamieszkały przy ulicy des Tournelles, usiadł przy mnie i rzekł:

— Panie Hugo, podłożono ogień pod pański dom; powstańcy zakradli się przez małe drzwiczki od zaułka Guéménée.

— A rodzina moja?

— W bezpieczeństwie.

— Zkąd pan to wiesz?

— Przychodzę ztamtąd. Nie będąc znanym, mogłem przejść przez barykadę i doszedłem aż tu. Rodzina pańska schroniła się najprzód do merostwa. Byłem tam i ja. Widząc, że niebezpieczeństwo minęło, poprosiłem panią Wiktorową Hugo, ażeby poszukała jakiego innego schronienia. Znalazła je dla siebie i dla dzieci u zduna, nazwiskiem Martignon,

mieszkającego obok waszego domu, pod arkadami.

Znałem tę zacną rodzinę Martignonów. To mnie uspokoiło.

— A gdzie jest w tej chwili ruchawka?— spytałem pana Belley.

— To nie ruchawka, to Rewolucya. Paryż jest już obecnie w jej mocy.

Pożegnałem Belley'a i przebiegłem szybko kilka sal, dzielących miejsce naszych posiedzeń od gabinetu, w którym przebywała Komisya Wykonawcza.

Był to salonik, należący do przewodniczącego izby, poprzedzony dwoma jeszcze mniejszymi pokojkami.

W tych ostatnich znalazłem gromadę oficerów i gwardzistów narodowych, z minami przerażonemi, rozprawiających bezładnie. Nie myśleli opierać się przejściu kogokolwiek bądź. Pchnąłem drzwi saloniku i wszedłem.

Ledru Rollin, cały czerwony, siedział jednym bokiem na stole. Garnier-Pagès, bardzo blady, leżał przez pół w wielkim fotelu. Przeciwiństwo było zupełne, Garnier-Pagès chudy, z długimi włosami, Ledru Rollin tłusty i przystrzyżony.

Dwóch lub trzech pułkowników, między którymi poseł Charras, rozmawiali w kącie. Zdaje mi się, że był tam także Arago; nie pamiętam dobrze, czy był Marie. Pamiętam, że dzień był prześliczny.

Lamartine, stojąc we wgłębieniu okna na lewo, rozmawiał z jakimś generałem w pełnej gali, którego wówczas widziałem po raz pierwszy i ostatni

w mojem życiu, a którym był Negrier. Został on zabity wieczorem, tegoż dnia, przed barykadą.

Podbiegłem do Lamartine'a, który postąpił parę kroków na moje przywitanie. Był blady, pomieszany, z zapuszczoną brodą, w ubraniu zapyłnem. Podał mi rękę:

— A! dzień dobry, Hugo!

I oto zawiązał się między nami dyalog, którego każde słowo mam jeszcze żywo w pamięci:

— Jakże stoją rzeczy?—pytam.

— Jesteśmy skończeni.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że za kwadrans lud wtargnie do Zgromadzenia.

(W samej rzeczy kolumna powstańców zbliżała się już przez ulicę Lille. Szarża konnicy, w porę wykonana, rozpedziła ją).

— Jaktó! a wojsko?

— Już go nie ma.

— Ależ mówileś mi pan w środę i powtórzyłeś wczoraj, że masz sześćdziesiąt tysięcy ludzi!

— Tak sądziłem.

— Cóż u diabła! Przecież tak się poddawać nie można. Nietylko pan wchodzisz tu w grę, ale i Zgromadzenie, i nietylko Zgromadzenie, ale i Francya, i nietylko Francya, ale i cywilizacya wogóle. Czemużeście nie wysłali wczoraj rozkazów, ściągających wojska z miast prowincjonalnych, przynajmniej w promieniu jakich czterdziestu mil? Topy wam dało odrazu trzydzieści tysięcy ludzi.

— Wydaliśmy rozkazy.

— I cóż?

— Wojsko nie przychodzi!

Lamartine wziął mnie za rękę i rzekł:

— Nie ja jestem ministrem wojny!

W tej chwili kilku posłów weszło z hałasem. Zgromadzenie uchwaliło stan oblężenia. Powiedzieli o tem w trzech słowach Ledru Rollin'owi i Garnier-Pagès'owi.

Lamartine zwrócił się przez pół ku nim, mówiąc przyciszonym głosem:

— Stan oblężenia! Stan oblężenia!... Dobrze, zróbcie, jeśli myślicie, że to jest koniecznem. Ja nie mówię nic!

Rzucił się w fotel, powtarzając:

— Nie mam nic do powiedzenia, ani tak, ani nie. Róbcie!...

Tymczasem generał Negrier podszedł ku mnie i rzekł:

— Panie Hugo, przychodzę pocieszyć pana, mam nowiny z placu Królewskiego.

— I cóż, generale?

— Rodzina pańska jest ocalona...

— Dziękuję, tak, powiedziano mi to przed chwilą.

— Ale pański dom jest spalony.

— To najmniejsza.

Negrier z żywością uścisnął mi rękę:

— Rozumiem pana. Powinniśmy teraz myśleć o jednej tylko rzeczy, o ocaleniu kraju.

Gdy miałem wychodzić, Lamartine wystąpił z jednej z grup i podszedł ku mnie:

— Bądź zdrow. Ale nie zapomnij tego, co ci

powiem: nie sądźcie mnie zbyt skwapliwie; nie jestem ministrem wojny...

Na dzień przedtem, gdy zaburzenia wzmagaly się, Cavaignac, po wydaniu kilku rozkazów, powie-
dział do Lamartine'a:

— Będzie tego dosyć na dziś.

Była wówczas piąta.

— Jakto!—zawołał Lamartine. — Wszakże ma-
my jeszcze cztery godziny dnia — ruchawka z nich
skorzysta, a my je stracimy!

Ale nie mógł nic więcej wydobyć z Cavaignac'a
nad to, że:

— Dosyć będzie na dziś.

24-go, około godziny trzeciej, w najbardziej
krytycznej chwili, przedstawiciel ludu, przepasany
wstęgą, przybywa do merostwa II-go okręgu przy
ulicy Chauchat, za Operą. Poznają go. Był to La-
grange.

Gwardziści narodowi otaczają go. W jednej
chwili gromada przybiera nastrój groźny:

— To Lagrange. Ten, który strzelał z pisto-
letu! Czego pan tu chcesz? Jesteś podlec! Ruśzaj
za barykady, tam twoje miejsce—tam są twoi—a nie
z nami. Ogłaszają cię swoim naczelnikiem; idźże do
nich! Oni przynajmniej są dzielni! Oddają krew za
wasze szaleństwa, a wy, wy się boicie! Wstrętny
wasz obowiązek, ale spełniajcie go przynajmniej. Da-
lejšel! Precz ztąd!

Lagrange próbował mówić. Wygwizdano go
i zakrzyczano.

Oto w jaki sposób ci szaleńcy traktowali uczciwego człowieka, który walczył najprzód w obronie ludu, a następnie chciał się poświęcić dla społeczeństwa.

25 czerwca.

Powstańcy strzelali wzdłuż całego Bulwaru Beaumarchais, ze szczytów nowych domów. Wielu urządziło zasadzkę w ogromnym, świeżo budującym się domu, naprzeciw Galioty. W oknach powystawiali lalki słomiane w bluzach i czapkach robotniczych.

Widziałem wyraźnie człowieka, który się schronił za małą barykadę z cegieł, zbudowaną w rogu balkonu czwartego piętra, domu, stojącego wprost ulicy Pont aux-Choux. Człowiek ten celował długo i wielu zabijał.

Była godzina trzecia. Żołnierze i gwardya ruchoma zajmowali dachy Bulwaru du Temple, odpowiadając na ogień. Właśnie ustawiono moździerz przed teatrem de la Gaité, celem zburzenia Galioty i oczyszczenia całego bulwaru.

Uważałem za swój obowiązek spróbować, czy nie dałoby się powstrzymać rozlewu krwi i z tą myślą posunąłem się aż do rogu ulicy Angoulême.

W chwili, gdym mijał kiosk afiszowy, obok stojący, opadły mnie strzały. Kiosk został podziurawiony tuż za mojami plecami. Był on pokryty afiszami teatralnymi, z których pozostały tylko strzępy.

Zdarłem szmat papieru na pamiątkę. Afisz, do którego ten kawałek należał, zapowiadał na tę właśnie niedzielę, wielką zabawę w Château des Fleurs *e dziesięcioma tysiącami lampionów.*

Od czerech miesięcy żyjemy jakby w piecu hutniczym. Pociesza mnie myśl, że wyjdzie zeń posąg przyszłości — widocznie potrzeba takiego żaru do stopienia takiego bronzu.

VI.

Chateaubriand.

5 lipca 1848.

Chateaubriand umarł. Jedna z gwiazd tego wieku zagasła.

Miał siedemdziesiąt dziewięć lat, według swojej rachuby; miałby osiemdziesiąt, według rachuby starego swego przyjaciela, pana Bertin starszego. Ale, jak mówi ten ostatni, miał on słabostkę, która mu każała wierzyć, że urodził się nie 1768, lecz w 1769, ponieważ był to rok Napoleona.

Zmarł wczoraj, 4 lipca, o 8-ej rano. Od pięciu, czy sześciu miesięcy, był dotknięty paraliżem, który prawie całkiem przyćmił mu umysł, a od dni pięciu nadto zapaleniem płuc, które dokończyło dzieła.

Nowina o śmierci doszła do Akademii przez pana Arago, poczem natychmiast odwołano posiedzenie.

Opuściwszy Zgromadzenie Narodowe, gdzie wybierano kwestora na miejsce generała Négrier, zabi-

tego w dniach czerwcowych, szedłem do Chateaubriand'a na ulicę du Bac, 110.

Wprowadzono mnie do zięcia jego bratanka, pana de Preuille. Wszedłem do pokoju Chateaubriand'a.

Leżał na swoim łóżku, małym żelaznym, z białymi firankami, z żelazną koroną, dość lichego smaku. Twarz była odkryta; czoło, nos, oczy zamknięte, miały jeszcze ten sam wyraz szlachetności, jaki go znamionował za życia, z dodatkiem majestatu śmierci. Usta i podbródek zakrywała chustka batystowa. Na głowie miał czapeczkę białą, nicianą, odsłaniającą siwe włosy na skroniach; krawat biały sięgał aż do uszów. Jego twarz ogorzała wydawała się surowszą wśród tej białości. Pod prześcieradłem można było odróżnić pierś zapadłą i wązką, i wychudłe nogi.

Okiennice okna, wychodzącego na ogród, były zamknięte; trochę światła wpadało przez uchylone drzwi salonu. Pokój i twarz oświetlały cztery gromnice, ustawione na rogu stołu przy łóżku. Na stole wielki krucyfiks srebrny, naczynie z wodą święconą i kropidło. Ksiądz modlił się obok.

Za księdzem wielki brunatny parawan zasłaniał kominek, pozwalając widzieć tylko jego lustro i parę obrazków, przedstawiających kościoły i katedry.

U stóp zmarłego stały dwie skrzynie, jedna na drugiej. Większa, jak mi powiedziano, zawierała kompletny rękopism pamiętników Chateaubriand'a, składający się z 48 zeszytów. W ostatnich dniach taki był przy nim nieład, że jeden z tych kajetów znalazł

dziś rano pan Preuille w brudnym i ciemnym kącie, w którym czyszczono lampy ¹⁾).

Kilka stolików i kilka foteli niebieskich i zielonych w nieładzie, zastawiały raczej, niż meblowały ten pokój.

W sąsiednim salonie, którego meble osłonięte były pokrowcami, zasługiwał na uwagę tylko biust marmurowy Henryka V, stojący na kominku. Przed nim mały posążek Chateaubriand'a, w postawie stojącej. Z dwóch stron okna pani de Berri i jej synek, z gipsu.

W ostatnich latach swego życia Chateaubriand prawie całkiem zdziecinniał. Jak mi opowiadał p. Pilorge, jego dawny sekretarz, bywał przytomny zaledwie dwie do trzech godzin dziennie.

Gdy mu doniesiono, w lutym, o proklamowaniu republiki, powiedział tylko tyle:

— Czy będziecie przez to szczęśliwsi?

Gdy mu umarła żona, poszedł na pogrzeb i wrócił, śmiejąc się w głos.

— Dowód osłabienia umysłu—mówił Pilorge.

— Dowód rozumu—odpowiadał Edward Bertin.

¹⁾ Pamiętniki Chateaubriand'a, świetne pod względem stylu, zajmujące jako charakterystyka epoki, wyszły w podwójnym przekładzie polskim: Leona Rogalskiego, p. t. „Pamiętniki pogrobowe,” Warszawa, 1849, tomów 10, i Oskara Stanisławskiego p. t. „Pamiętniki pośmiertne.” Warszawa, 1849, tomów 11. (P. T.).

Pani de Chateaubriand odznaczała się dobrocią urzędową, nieprzeszkadzającą złości prywatnej.

Założyła ona przytułek pod nazwą Maryi Teresy; nawiedzała biednych, nadzorowała ochronki, przewodniczyła w komitetach dobroczynnych, pielęgnowała chorych, dawała jałmużnę i modliła się, a jednocześnie znęcała się nad mężem, maltretowała rodziców, przyjaciół, służbę, była szorstką, niewyrozumiałą, przesadną, złośliwą i plotkarką. Dobry Bóg zważy to wszystko, tam wysoko.

Była brzydka, ospowata, miała zbyt wielkie usta, a oczki małe, wygląd wątły i pozowała na wielką damę, będąc raczej tylko żoną wielkiego człowieka, a nie wielkiego pana. Z pochodzenia, była po prostu córką dostawcy z Saint-Malo. P. de Chateaubriand lękał się jej, nienawidził jej, a starał się jej dogodzić.

Korzystała z tego, by móżdż być nieznośną dla drugich. Nie widziałem osoby równie szorstkiej w zbliżeniu i równie odstręczającej w stosunkach. Młodzieńcem jeszcze będąc, zachodziłem do Chateaubrianda. Przyjmowała mnie bardzo źle, albo raczej wcale mnie nie przyjmowała. Wchodząc, kłaniałem się, a pani Ch. udawała, że mnie nie widzi. Wściekało mnie to tak, że gdym miał zamiar iść do Ch., namyślałem się tygodniami. Pani Chat. niecierpiała wszystkich przychodzących do jej męża innemi drzwiami niż te, które ona otwierała. Nie ona mnie przedstawiła mężowi i ztąd nienawiść. Byłem jej wstrętnym i wcale się z tem nie kryła.

Jeden jedyny raz w mojem i w jej życiu p. Ch. przyjęła mnie dobrze.

Wchodzę pewnego dnia, biedaczyna, jak zwykle z bardzo nieszczęśliwą miną, przerażonego sztu-baka, obracając kapelusz w rękach. Pan de Ch. mieszkał wówczas jeszcze przy ulicy ś. Dominika nr. 27. Wszystkiemu się bał u niego, nawet służącego, który mi drzwi otwierał. Wchodzę tedy. Pani de Ch. znajdowała się w salonie, poprzedzającym gabinet jej męża. Było to rano i w lecie. Promień słońca padał na posadzkę; ale co mnie oślepiło i zachwyciło bardziej niż ów promień słońca, to... uśmiech na twarzy pani Ch.!

— To pan, panie Wiktorze Hugo?—rzekła.

— Byłem jak w śnie *Tysiąca i jednej nocy*; pani de Ch., znająca moje nazwisko i wymawiająca je! Pierwszy raz w życiu raczyła zauważyć, że istnieje. Ukłoniłem się aż do ziemi, a ona mówiła dalej:

— Jestem zachwycona pańskim widokiem.

Nie wierzyłem swoim uszom.

— Spodziewałam się pana—ciągnęła dalej.—Już tak dawno nie byłś pan u nas...

Na razie wydało mi się, że jedno z nas musiało zwaryować: albo ona, albo ja. Tymczasem wskazała mi palcem na stos czegoś, dość wysoki, leżący na stoliku, i dodała:

— Zachowałam to dla pana; sądziłam, że to panu zrobi przyjemność. Wiesz pan, co to jest?

Była to czekolada religijna, przez nią protegowana i sprzedawana na rzecz biednych.

Wziąłem i zapłaciłem. A było to w czasach, kiedy musiałem się utrzymywać przez piętnaście miesięcy za osiemset franków! Czekolada katolicka

i uśmiech pani Ch. kosztowały mnie 15 franków, to znaczy dwudziestodniowe pożywienie. Piętnaście franków znaczyło dla mnie wówczas tyle, co dziś tysiąc pięćset.

Był to w mojem życiu najdroższy uśmiech kobiety.

Na początku r. 1847 p. de Chateaubriand był sparaliżowany; pani Recamier zaś była niewidomą. Codziennie, o godzinie 3-ej, noszono Chateaubriand'a i sadzano przy łóżku pani Recamier.

Było to wzruszające i smutne.

Kobieta już niewidząca, tęskniła do człowieka, który już nie czuł; dłonie ich spotykały się.

Niechże Bóg będzie błogosławiony! Człowiek zamiera już, a kocha jeszcze.

VII.

Rozprawy nad wypadkami czerwcowymi w Zgromadzeniu Narodowym.

Posiedzenie 25 listopada 1848.

Chodziło o ustalenie wobec Zgromadzenia ciężkich odpowiedzialności za krwawe dni czerwcowe.

W strasznych tych chwilach władzę miała Komisya Wykonawcza; nie mogłaż ona zapobiedz powstaniu?

Generał Cavaignac, minister wojny, obdarzony w dodatku władzą dyktatorską przez Zgromadzenie, sam wydawał rozkazy; czy dawał je w porę? czy nie można było zgnieść buntu w pierwszej chwili, zamiast pozwolić mu wzrastać i zmienić się w końcu w powstanie? Wreszcie, czy ucisk po zwycięstwie, nie był zbyt krwawym, omal że nieludzkim?

W miarę zbliżania się chwili obrachunku, Cavaignac stawał się niespokojnym, a rozdrażnienie jego odzywało się nawet w Izbie.

Pewnego dnia Crémieux usiadł na ławie ministrów i ze swego miejsca rzucił mówcy, zajmującemu trybunę, kilkakrotnie słowa: *bardzo dobrze!*

— Panie Cremieux—odezwał się Cavaignac—robisz pan dużo hałasu...

— A co to panu przeszkadza?

— To mi przeszkadza, że pan siedzisz na ławie ministrów.

— Chcesz pan, żebym z niej wstał?

— Ależ!...

Cremieux wstaje i wychodzi z ławki, mówiąc:

— Generale, wypędzasz mnie z niej, a ja pana na nią wprowadziłem.

W samej rzeczy Cremieux, należąc do Rządu Tymczasowego, zamianował Cavaignac'a ministrem wojny.

W ciągu trzech dni, poprzedzających rozprawy, Izba także była wzburzona i niepewna. Przyjaciele Cavaignac'a drżeli potajemnie i usiłowali innych nastraszyć. Mówili oni: Zobaczycie! Nadrabiali miną.

Gdy Jules Favre wspomniał na trubunie *o wielkich i uroczystych rozprawach*, zbliżających się dla Izby—wybuchnęli śmiechem.

Pan Coquerel, pastor protestancki, spotkawszy Cavaignac'a w przedsionku, rzekł do niego:

— Trzymaj się ostro, generale!

— Ja!—zawołał Cavaignac z zaiskrzonymi oczami—w kwadrans czasu wymiotę tych nędzników!

— Ci nędznicy, to byli: Lamartine, Garnier-Pagès, Ledru-Rollin i Arago. Ten ostatni, co prawda, był wątpliwy; opowiadano, że zbliżył się z Cavaignac'iem.

Cavaignac w tej właśnie chwili dawał krzyż Legii honorowej biskupowi Quimper, księdzu Legrand, który go przyjął.

— Krzyż za głos—mówiono w Zgromadzeniu. I śmiano się z odwrócenia ról: z generała, dającego krzyż biskupowi.

W gruncie rzeczy, jesteśmy w pełnej walce o prezydentum. Kandydaci pokazują sobie pięści. Zgromadzenie gwizdże, grozi, mruczy, tupie, miażdży jednego, klaszcze drugiemu.

Ta biedna izba jest prawdziwie żołnierską dziewczyną, zakochaną w wojaku. Na razie jest nim Cavaignac.

Kto będzie jutro?..

Generał Cavaignac był w mowie swojej zręcznym, niekiedy nawet wymownym. Bronił się tak, jak inni napadają. Na mnie sprawiał często wrażenie prawdy, może właśnie dlatego, że tak długo był niewyraźnym. Zgromadzenie słuchało go blisko trzy godziny, z głęboką uwagą, w której co chwila przebijała sympatya, zawsze zaufanie, niekiedy coś w rodzaju miłości.

Przy swojej wysokiej i smukłej postawie, w swoim czarnym surduciku z wojskowym kołnierzem, przy gęstym wąsie, zmarszczonych brwiach, mowie treściwej i ucinkowej, podrywanej ciąglą czujnością myśli, przeplecionej nawiasami; ze swoją gestykulacją nieokrzesaną, był chwilami dziki jak żołnierz, i zarazem dziki jak trybun.

Ku środkowi mowy stał się adwokatem, co dla mnie zepsuło człowieka; przemówienie stawało się obroną. Ale pod koniec uniósł się rodzajem prawdziwego oburzenia, uderzył pięścią w trybunę i prze-

wrócił szklanke wody, ku wielkiemu przerażeniu woźnych; a gdy kończył:

— Mówilem, nie wiem jak długo, ale jeśli będzie potrzeba, będę mówił cały wieczór, całą noc, cały dzień jutrzejszy, i nie będzie to już teraz adwokat, będzie to już żołnierz, i wysłuchacie go! — całe zgromadzenie wybuchnęło olbrzymią owacją.

P. Barthélemy Saint-Hilaire, który napastował Cavaignac'a, był mówcą zimnym, sztywnym, trochę suchym, jednym słowem niedorastającym do wysokości zadania; jego gniew nie czynił efektu, a jego nienawiść pozbawiona była namiętności.

Zaczął od odczytania dokumentu, co nigdy na zebraniach nie jest dobrze widzianem. Zgromadzenie, źle względem mówcy usposobione, a wewnątrznie nawet rozjątrzone, chciało go zgłębić. Szukało tylko pozorów, a on mu dawał powody. Memoriał jego miał tę dużą wadę, że na drobnych faktach opierał wielkie oskarżenia i skutkiem tej nadwagi cała budowa argumentacji musiała się uginać.

Ten mały, mizerny mówca, wyrzucający co chwila jedną nogę w tył, a cały pochylający się naprzód, z rękami wspartemi o brzeg trybuny, jakby zaglądał do studni, śmieszył tych, którzy nie sykali.

Gdy audytorium trzęsło się w gorączce, on z największą w świecie flegmą zapisywał długie uwagi na kartkach swego zeszytu, osuszał atrament piaskiem, zsypywał nadmiar jego do piaseczniczki i powiększał hałas swoim spokojem.

Gdy Barthélemy Saint-Hilaire zszedł z trybuny, Cavaignac był dopiero pod zarzutem, a już był uniewinniony.

Po panu Barthélemy Saint-Hilaire wystąpił Garnier Pagès, republikanin wypróbowany, człowiek uczciwy, ale z podkładem próżności i w formach zbyt patetyczny. Zgromadzenie i jego próbowało zgnębić, ale on, słysząc szemrania, wyprostował się. Powołał się na swoją przeszłość, poświadczył wspomnienia z sali Voisin'a, porównał fanatyków Cavaignac'a z fanatykami Guizot'a, pokazał swoje piersi, „które wystawiał na sztylety czerwonej Republiki“, i dosadnie zaczął atakować generała małą liczbą faktów, a wielką frazesów, ale z frontu, zgodnie z żądaniem Pisma świętego, biorąc byka za rogi. Garnier-Pagès podjął oskarżenie, już prawie podeptane nogami.. Zbyt często mieszał swoje *ja* do dyskusyi, i źle czynił, bo wszelkie osobistości powinny były zniknąć wobec powagi rozpraw i zaniepokojenia kraju. Zwracał się na wszystkie strony z rodzajem rozpaczliwej wściekłości; wzywał Arago, by się w to wmieszał, Ledru-Rollina, by się odezwał, Lamartine'a, by rzecz wyjaśnił. Tymczasem wszyscy trzej milczeli, nie dopisując ani swoim obowiązkom, ani przeznaczeniu.

Zgromadzenie tymczasem prześladowało Garnier-Pagès'a sykaniem, a gdy ten zawołał do Cavaignac'a:

— *Chciałś pan powalić nas na ziemię!* — wybuchnęło śmiechem, tak z powodu sentymentu, jak i z powodu wyrażenia.

Garnier-Pagès patrzył na śmiejących się z desperacją.

Wołano ze wszystkich stron:

— Zamknąć rozprawę!

Zgromadzenie było już w takim nastroju, że nie chciało ani słuchać, ani słyszeć.

Na trybunie ukazał się Ledru-Rollin.
Ze wszystkich ław podniósł się głos:
— Nareszcie!

Nastąpiło milczenie.

Słowa Ledru-Rollin'a wywierały jakby jakiś wpływ fizyczny: gruby, ale potężny. Garnier-Pagès zaznaczył błędy polityczne generała, Ledru-Rollin zaznaczył jego błędy wojskowe. Z niezwykłą biegłością adwokata połączył gwałtowność trybuna. Zakończył życzeniem wspaniałomyślności i przez to zachwiał Cavaignac'iem.

Gdy powrócił na swoją ławkę i siadł między Piotrem Leroux i de Lamennais, człowiek z długą siwiejącą czupryną, w białym surducie przeszedł przez salę, by uścisnąć dłoń Rollin'a.

Był to Lagrange.

Cavaignac wstąpił na mównicę po raz czwarty.

Było już w pół do jedenastej. Z placu Zgody dolatywał szum tłumy i odgłos obrotów kawaleryjskich. Wygląd Zgromadzenia stawał się ponurym.

Cavaignac zmęczony, postanowił być wyniosłym. Zwrócił się do Góry ¹⁾ i wyzwał ją, oświadczając Góralom, wśród oklasków większości i kon-

¹⁾ Górą (*La Montagne*) lub góralami (*Les Montagnards*) nazywano najbardziej krańcowych członków Konwentu, z czasów Wielkiej Rewolucji.
(P. T.)

serwatystów, że wolał zawsze *ich obelgi, niż ich pochwały*. Wydało się to zuchwałem, ale było zrzęcznem; Cavaignac stracił przez to ulicę Tait-bout, przedstawiającą socyalistów, ale zdobył ulicę Poitiers, przedstawiającą zachowawców.

Po tej apostrofie zatrzymał się chwilę nieruchomo, pocierając ręką czoło. Zgromadzenie zaczęło wołać:

— Dość! dość!

Zwrócił się do Ledru-Rollin'a, rzucając mu te słowa:

— Powiedziałeś pan, że odsuwasz się odemnie. To ja odsuwam się od pana. Powiedziałeś pan: na długo, a ja panu mówię: na zawsze!

Był to koniec. Zgromadzenie żądało zamknięcia rozpraw.

Tymczasem jeszcze ukazał się na mównicy Lagrange i giestykulował wśród syków i krzyków.

Lagrange był to rodzaj deklamatora, zarazem ludowego i rycerskiego, który wyrażał uczucia prawdziwe głosem fałszywym.

— Przedstawiciele ludu, mówił on, widzę, że was to bawi, a mnie to wcale nie bawi!

Zgromadzenie wybuchnęło śmiechem i śmiało się aż do końca jego mowy. Wzywał pp. Landrin'a i Flandrin'a i wtedy wesołość przeszła w szal.

Należałem do tych, którym ta wesołość ścisnęła serce, bo zdawało mi się, że słyszę łkanie ludu w owych wybuchach śmiechu.

Podczas tego rozgardyaszu kursowała od ławy do ławy, kartka papieru, pokrywająca się podpisami; zawierała ona porządek dzienny motywowany i zalecony przez p. Dupont de l'Eure.

Dupont de l'Eure sam, zgięty, chwiejący się, zaczął czytać na mównicy z powagą ósmego krzyżyka, swój porządek dzienny, wśród głębokiego milczenia, przerywanego oklaskami.

Został on przejęty 503 głosami przeciw 34. Ów porządek dzienny powtarzał poprostu oświadczenie z dnia 28 czerwca: *General Cavaignac dobrze się służył ojczyźnie.*

Ja należałem do trzydziestu czterech. W chwili, gdy liczono głosy, Napoleon Bonaparte, syn Hieronima, zbliżył się do mnie i rzekł:

— Powstrzymałeś się pan?

— Od mówienia, tak; od głosowania, nie.

— A! — odrzekł. — My powstrzymaliśmy się od głosowania, ulica de Poitiers również.

Ująłem go za rękę i powiedziałem:

— Wolna wola. Ja się nie usuwam. Sądzę Cavaignac'a, a kraj mnie osądzi. Ja chcę światła dla moich czynów, a moje głosowania to czyny.



III.

1849.

I.

Ogród zimowy.

W Lutym 1849.

W Lutym 1849, pośród bólów i lęków — zabawy. Urządza je nędza. Tańczono dla biednych. W chwili, gdy armaty były jeszcze, że tak powiem, zwrócone w stronę ludu, bal dobroczynny ściągał cały Paryż do Ogródu Zimowego.

Oto czem był wówczas Zimowy Ogród:

Pewien poeta odmalował go jednym wyrazem: *umieszczono lato pod kloszem.*

Była to olbrzymia klatka żelazna, z dwiema nawami na krzyż, wielka, jak cztery lub pięć katedr razem wziętych, i przykryta kolosalnem oszkleniem.

Klatkę tę zbudowano na polach Elizejskich, wchodziło się do niej przez galeryę drewnianą, wyłożoną dywanami i makatami.

Wchodząc, trzeba było najprzód zmrużyć oczy

przed falą światła. W tej fali światła mogłeś odróżnić wszelkiego rodzaju wspaniałe kwiaty i drzewa dziwnych kształtów, z ulścieniem południa i północy, gór i dolin: banany, różne rodzaje palm, cedry, liście szerokie i ostre igły, dziwaczne gałęzie i pędy poskręcane i poplątane, jakby w dziewiczym lesie. Zresztą z kategorii dziewictwa, był las tylko. Najpiękniejsze kobiety i najładniejsze dziewczęta Paryża, w balowych strojach, wirowały w tem oświetleniu *à giorno*, jak roje różnobarwnych owadów w promieniu słońca.

Ponad tym strojnym tłumem błyszczał potwornych rozmiarów świecznik brązowy, albo raczej olbrzymie drzewo złote, z odwróconymi płomykami, które zdawały się wyrastać ze sklepienia, roztaczając nad publicznością dach listków, złożonych z iskier i blasków. Szerokie koło mniejszych świeczników rozchodziło się promienisto po całej sali, stanowiąc niby mniejsze konstelacje, dookoła jednego słońca.

Od sklepienia odbijały się silne tony orkiestry, wywołując drżenie szyb.

Ale co stanowiło odrębną właściwość Ogrodu Zimowego, to to, że po za tym przedśmionkiem światła, muzyki i gwaru można było dojrzeć jakby rodzaj arki olbrzymiej a zacienionej, rodzaj grotty cieniów i tajemnic.

Ta grotta, w której wyrastały wielkie drzewa i gdzie jeżył się zagajnik, poprzecinany alejami i polankami, gdzie strumień wody rozpylał się w mgłę dyamentową, było to właśnie wewnątrz ogrodu. Różowe punkty, podobne do ognistych pomarańcz, błyszczały tu i owdzie wśród gałęzi.

Wszystko to razem wyglądało niby sen. Lampy w zagajniku, gdy się do nich zbliżało, stawały się wielkimi świetlanymi tulipanami, zmieszanyimi z prawdziwemi kameliami i naturalnemi różami.

Siadało się na ławce, mając stopy na mchu lub na murawie, i wtedy czuło się tchnienie ciepłe pod tą murawą i pod tym mchem. Olbrzymi kominek z marmuru i bronzu, w którym pół wielkiego drzewa płonęło odrazu, roztaczał fale ciepła o dwa kroki od zarośli, drżących pod deszczem strumienia wody. Były lampy na drzewach i dywany w alejach, a pośród drzew satyry, nagie nymfy, hydry, wszelkiego rodzaju grupy i posągi, czyniące w swej całości wrażenie czegoś niemożliwego i czegoś żywego zarazem.

Co robiono na tym balu?

Trochę tańczono, trochę podkochiwano się, ale przede wszystkim mówiono o polityce.

Było tego wieczoru z pięćdziesięciu postów. Zwracał uwagę przedstawiciel murzynów, Louisy Mathieu, w białych rękawiczkach, w towarzystwie posła życzliwego murzynom, Schoelchera, w czarnych rękawiczkach. Mówiono:

— Co to znaczy braterstwo! Pozamieniali sobie ręce!

Mężowie stanu, wsparci o kominki, oznajmiali rychłe wydawnictwo dziennika zatytułowanego *Aristo*, organu reakcyi. Rozprawiano o sprawie Bré'a, sądzonej w tej właśnie chwili. Ale najwięcej zajmo-

wała tych ludzi poważnych w tej ponurej sprawie ta okoliczność, że byli do niej wmieszani w charakterze świadków: handlarz żelaza, zwany Lenclume (kowadło), i ślusarz nazwiskiem Laclef (klucz).

Oto jakie małości spostrzegali wówczas ludzie w wypadkach, kierowanych ręką Boga!

II.

Zabójcy generała Bréa.

Marzec 1849.

Skazańcy ze sprawy Bréa zostali zamknięci w forcie Vanves.

Było ich pięciu: Nourry, biedny dzieciak siedemnastoletni, którego brat i ojciec umarli w obłąkaniu, typ ulicznika paryzkiego, wyrastającego w czasie rewolucyi na bohatera, a w czasie nieporządków na zbrodniarza; Daix, pozbawiony jednego oka, kulawy, mańkut, *dobry biedak* z Bicetre, trepanowany ¹⁾ przed trzema laty, ojciec ośmioletniej ubóstwianej córeczki; Lahr, zwany Strażakiem, którego żona porodziła na-
zajutrz po wyroku, dając życie w chwili, gdy jej zadawano śmierć; Chopart, komisant księgarski, zamieszany w dość brzydkie wybryki młodości; wreszcie Vappreaux młodszy, który tłómaczył się nieobecno-

¹⁾ Któremu robiono operacyę wycięcia części czaszki.

ścią i który, jeśli mamy wierzyć czterem innym, wcale się nie pokazywał przy rogatce Fontainebleau, w ciągu trzech dni czerwcowych.

Nieszczęśliwi ci są zamknięci w wielkich kaza-matach fortu. Wyrok bardzo ich przygnębił i skłonił ku Bogu. W piwnicy więziennej jest pięć łóżek polowych i pięć słomianych krzesel; do tego ponurego umeblowania dodali sami ołtarz. Ten ołtarz mieści się w głębi, wprost drzwi i pod dymnikiem, przez który wpływa dzień. Na ołtarzu stoi tylko Matka Boska z gipsu, przybrana w płaszcz z koronek. Nie ma pochodni, z obawy, żeby więźniowie nie podłożyli ognia pod drzwi, słomą swoich sienników. Modlą się i pracują. Ponieważ Nourry nie odbył jeszcze pierwszej spowiedzi, a chce się wyświadczyć przed śmiercią, Chopart powtarza z nim katechizm.

Obok ołtarza leży na dwóch kozłach deska, podziurawiona kulami. Była to tarcza strzelnicza fortu. Zrobili z niej stół obiadowy. Okrutne upamiętnienie rychłej śmierci!

Przed kilku dniami doszedł ich rąk list bezimien-ny. W tym liście kazano im uderzyć nogą w płytę kamienną posadzki, zajmującą sam środek więzienia. List objaśniał, że ta płyta spoczywa nad studnią, przez którą dawnym podziemnym korytarzem probostwa Vanves można się dostać aż do Chatillon. Będą mogli podważyć tę płytę i pewnej pięknej nocy wymknąć się z więzienia.

Poszli za radą listu. W samej rzeczy płyta środkowa wydawała taki odgłos, jakby pod nią była pustka. Lecz, czy to dlatego, że policja wiedziała

o owym liście, czy też z jakiegoś innego powodu, dość, że od tej chwili podwojono nadzór i nie mogli skorzystać ze wskazówki.

Dozorcy i księża nie opuszczali ich ani na chwilę. Strażnicy ciała złączeni ze strażnikami duszy. Smutna sprawiedliwość ludzka!

Wykonanie wyroku było błędem, bo wznawiało szafot. Lud skopał nogami i przewrócił gilotynę. Burżuazya ją podniosła. Rzecz była nieunikniona.

Prezydent Ludwik Bonaparte skłaniał się ku ułaskawieniu. Można było przewlec rewizyę i kasacyę. Arcybiskup Paryża Sibour, sam następca ofiary, przychodził prosić o łaskę dla zabójców. Ale frazesy konwencyonalne przemogły. Trzeba było uspokoić kraj, trzeba było przywrócić porządek, wzbudzić zaufanie, odbudować legalność. A społeczność owych czasów uważała jeszcze odcięte głowy jako materiały budowlane. Ówczesna Rada Stanu, do której zwrócono się po opinię w myśl konstytucyi, oświadczyła się za egzekucyą. Adwokat Daix'a i Lahr'a, p. Cressou, widział się z prezydentem. Był to człowiek młody, z sercem i wymowny. Mówił o tych ludziach, o tych żonach, nie będących jeszcze wdowami, o dzieciach nie będących jeszcze sierotami, a mówiąc, płakał.

Ludwik Bonaparte słuchał go w milczeniu, ujął go za rękę, ale odpowiedział tylko tyle:

— Jestem bardzo nieszczęśliwy!

Wieczorem tegoż dnia, było to w czwartek, zebrała się rada ministrów. Rozprawa była długa i żywa. Jeden tylko z ministrów przemawiał przeciw

egzekucyi. Ludwik Bonaparte popierał go. Narady trwały aż do dziesiątej wieczór. Ale większość przemogła i zanim ministrowie rozeszli się, strażnik pieczęci, Odilon Barrot, podpisał wyrok śmierci dla trzech skazańców: Daix'a, Lahr'a i Chopart'a. Nourry i Vappreux młodszy zostali skazani na dożywotnie galery.

Egzekucyę wyznaczono nazajutrz rano, w piątek.

Kanclerz przesłał niezwłocznie rozkaz prefektowi policyi, który obowiązany był porozumieć się z władzą wojskową, ponieważ wyrok wydał sąd wojenny.

Prefekt posłał po kata. Lecz od pierwszych dni lutego kat Paryża opuścił swój dom przy ulicy des Marais Saint-Martin. Uważał on, że wyszedł z łaski razem z gilotyną. Zniknął więc.

Stracono dużo czasu na wyszukanie jego nowego mieszkania, a gdy je znaleziono, nie było go w domu. Poszedł na przedstawienie do Opery, chciał bowiem zobaczyć *Skrzypce Dyabelskie*.

Dochodziła już północ, a o kacie ani słycho. Trzeba było odłożyć egzekucyę do dnia następnego.

W tej zwłoce poseł Larabit, któremu Chopart udzielił pomocy na jednej z barykad pod rogatką, został uwiadomiony i mógł zobaczyć się z prezydentem. Prezydent podpisał ułaskawienie Chopart'a.

Nazajutrz po egzekucyi prefekt policyi wezwał kata i wymawiał mu jego nieobecność.

— Hm! — mruknął Sanson — przechodziłem przez

ulicę, patrząc, widzę wielki, żółty afisz z napisem: „Skrzypce dyabelskie.“ Myślę sobie: oj, do dyabła! to musi być zabawne! I poszedłem...

Ale swoją drogą ten żółty afisz ocalił głowę ludzką.

Zaszły niektóre okropne okoliczności.

Owej nocy, z piątku na sobotę, podczas gdy ci, których niegdyś nazywano: „mistrzami dzieł niskich,“ budowali rusztowanie pod rogatką Fontaine-bleau, sprawozdawca sądu wojennego w towarzystwie archiwisty udawał się do fortu Vanves.

Daix i Lahr, mający umrzeć, spali. Znajdowali się oni w kazamacie nr. 13 z Nourry'm i Chopart'em. Musieli czekać, bo zdarzyło się, że nie znaleziono postronków. Pozwolono więc spać skazanym.

O piątej rano pomocnicy kata przybyli z należnymi przyborami.

Wówczas otworzono drzwi. Czterej ludzie zbudzili się. Powiedziano do Nourry'ego i Chopert'a: „Idźcie precz!“ Zrozumieli i uciekli do sąsiedniej kazamaty, uradowani i przerażeni zarazem. Zaś Daix i Lahr nie rozumieli, o co chodzi. Unieśli się na swych łózkach, rozglądając się z miną przerażoną.

Rzucono się na nich i powiązano. Nikt nie wyrzekł jednego słowa. Zaczęli nareszcie domyślać się, o co chodzi, i wydawać straszne krzyki.

— Gdyby ich nie byli powiązali — opowiadał kat—byliby nas zjedli.

Potem Lahr osłabł i podczas, gdy mu czytano wyrok, odmawiał pacierze.

Daix zaś walczył w dalszym ciągu, płacząc i rycząc z przerażenia. Ci ludzie, którym tak łatwo przyszło zabić drugiego, drżeli jednak przed śmiercią.

Daix wołał: „Na pomoc!“ Odwoływał się do żołnierzy, zaklinał ich, znieważał, błagał w imieniu generała Bré'a.

— Cicho bądź! — rzekł jeden z policyantów — jesteś tchórzem!

Egzekucya odbyła się z wielką paradą.

Zaznaczmy ten fakt, że gdy po raz pierwszy, po dniach lutowych, gilotyna ośmieliła się pokazać publicznie, dano jej wojsko dla bezpieczeństwa.

Dwadzieścia pięć tysięcy ludzi piechoty i konnicy otaczało rusztowanie; dwóch generalów dowodziło. Siedem dział wycelowano w ujścia ulic, zbiegających się na placu rogatek Fontainebleau.

Daix został stracony pierwszy.

Gdy głowa spadła i gdy rozwiązano mu ręce i nogi, korpus, z którego buchał strumień krwi, padł na rusztowanie między gilotyną a koszykiem.

Oprawcy byli przyrażeni i nie wiedzieli na razie, co robić. Ktoś z ludu odezwał się:

— Przy tej gilotynie wszyscy głowy tracą, nawet kat!

W owej epoce można jeszcze było widzieć na przedmieściach rozgorączkowanych ostatnimi wyborami do Zgromadzenia Narodowego, nazwiska kandydatów popularnych, powypisywane węglem na murach.

Jednym z nich był Ludwik Bonaparte, Nazwi-

sko jego mieszało się w tym ulicznym plebiscycie z nazwiskami Raspaila i Barbès'a.

Nazajutrz po egzekucyi na wszystkich rogach ulic, wszędzie, gdzie tylko istniały owe wyborcze napisy, imię Ludwika Bonaparte zostało powykreślone czerwoną pręgą.

Milczący protest, wymówka i groźba. Palec ludu w oczekiwaniu palca Bożego.

III.

Samobójstwo Antonina Moine.

Kwiecień, 1849 r.

Przed miesiącem lutym 1848 r. Antonin Moine wyrabiał figurki i posążki na handel.

Figurki i posążki! Na tośmy zesli. Handel zastąpił Państwo. Gdy historia jest pustą, sztuka jest biedną; ponieważ nie ma już wielkich postaci, nie ma też i posągów.

Antonin Moine żył dość nędznie ze swej pracy. Z tem wszystkiem troszczył się o wychowanie swego syna, Pawła, i udało mu się umieścić go w szkole politechnicznej.

Okolo roku 1847, gdy już handel zbytkowy w dziedzinie sztuki i fantazyi zaczął słabnąć, Moine dołączył do figurek portrety pastelowe. Posążek na prawo—portret na lewo i jakoś to szło.

Po upływie lutego wszystkiego naraz zabrakło; zarówno fabrykanta, zamawiającego model świeczni-

ka lub zegara, jak i mieszczanina, pragnącego mieć swój portret.

Co robić?

Antonin Moine walczył, jak mógł, zniszczył swą starą odzież, żył grochem i ziemniakami, sprzedał swoją chińszczyznę handlarzom, zastawił najprzód zegarek, potem srebro.

Mieszkał bardzo skromnie przy ulicy Larochfoucauld pod numerem, jeśli się nie mylę, 8, na rogu ulicy La Bruyère.

Ale i skromne mieszkanko wkrótce opróżniło się z mebli.

Po upływie czerwca Moine starał się o zamówienie rządowe. Wlokło się to sześć miesięcy. Trzech, czy czterech ministrów zmieniło się i Ludwik Bonaparte miał czas zostać prezydentem. Wreszcie pan Leon Faucher zamówił u Antonina Moine'a biust, na którym mógł zarobić sześćset franków. Ale uprzedzono go, że ponieważ brak gotówki, biust nie będzie zapłacony wcześniej, jak po ukończeniu.

Nędza więc nadchodziła, a nadzieja oddalała się.

Antonin Moine powiedział raz do swojej żony, jeszcze młodej, bo ją poślubił, gdy miała lat piętnaście:

— Odbiorę sobie życie.

Nazajutrz znalazła żona pod jakimś meblem nabity pistolet. Wzięła go i schowała gdzieindziej. Zda się jednak, że Antonin go odnalazł.

Być może, iż umysł jego zaczynał się mroczyć

Nosił zawsze przy sobie kastet i brzytwę. Rzekł raz do żony:

— Można się zabić i młotkiem!

Raz zerwał się i otworzył okno tak nagle, że żona rzuciła się na niego, chwytając go w pól.

— Coś chciał uczynić?—spytała.

— Odetchnąć! A ty czego chcesz odemnie?

— Nic... ściskam cię—odrzekła.

18-go marca 1849 roku, było to, o ile pamiętam, w niedzielę, odezwała się do niego żona:

— Idę na mszę; pójdiesz ze mną?

Był pobożny, a żona, czuwając nad nim swą miłością, starała się jak najmniej zostawiać go samego.

On odpowiedział:

— Dobrze, w tej chwili—i przeszedł do sąsiedniego pokoju, który był pokojem jego syna.

Uplłynęło parę minut. Nagle pani Moine usłyszała odgłos, podobny do huku zatraskiwanej bramy. Ale nie łudziła się. Zadrżała, wołając:

— To ten obrzydły pistolet!

Rzuciła się do drzwi pokoju, do którego wszedł Antonin, a potem cofnęła się z przerażeniem: spostrzegła ciało, rozciągnięte na ziemi.

Zaczęła biegać po domu, jak szalona, wołając pomocy. Ale nikt nie przyszedł; czy to dlatego, że nikogo nie było w domu, czy że nie słyszano jej głosu przy turkocie ulicznym.

Wróciła więc i klękała przed ciałem męża. Strzał pistoletowy rozerwał prawie całą głowę. Krew pły-

nęła na podłogę; meble i mury pobryzgane były mózgiem.

Tak skończył Antonin Moine, prześladowany przez los, podobnie jak jego nauczyciel, Jan Goujon. I odtąd imię Moine'a związane będzie z dwoma wspomnieniami: strasznej śmierci i najpiękniejszego talentu.

IV.

Odwiedziny w dawnej Izbie Parów

Czerwiec, 1849 r.

Robotnicy, zasiadający w Luksemburgu pod prezydencją Ludwika Blanca, okazali jakby szacunek dla tej Izby Parów, którą zastępowało ich zgromadzenie. Fotele Parów zostały zdobyte, ale nie splamione. Nie było zniewagi, nie było urągania, nie było krzywdy. W ludzkie jest coś z dziecka, chętnie zapisuje on węglem na murze swój gniew, swą radość i swoją ironię; lecz robotnicy zachowali się poważnie. W szufladach znaleźli pióra i scyzoryki parów, ale nie wyrzynali napisów na stołach, i nie rozlewali atramentu.

Jeden ze strażników pałacu mówił do mnie:

— Byli bardzo grzeczni.

Opuścili te miejsca tak jak je zajęli, jeden z nich tylko wyrznął wewnątrz szuflady Guizot'a, w ławce ministeryalnej, te dwa wiersze:

La royauté est abolie,
Vive Louis Blanc! ¹⁾.

Można je czytać dziś jeszcze.

Fotele parów pokryte były zielonym aksamitem, obszytym złotym galonem. Pulpity mahoniowe, obite skórą, szuflady dębowe, zawierające wszystkie przybory do pisania, ale bez klucza. W górnej ramce pulpitu każdy par miał wydrukowane swe nazwisko, złotymi literami na zielonej skórcie, wprawionej w drzewo.

Na ławie książąt, położonej na prawo za ławą ministeryalną, nie było żadnych nazwisk, tylko złocene blaszki z napisem: „Ława Książąt.“

Te blaszki i skórki z nazwiskami parów zostały zdarte—nie przez robotników—lecz z rozkazu rządu tymczasowego.

Wprowadzono niektóre zmiany w salach, przeznaczonych na przedpokoje dla Zgromadzenia. Cudowny „Milon z Krotony“ Puget'a, zdobiący przedsiionek w górze wielkich schodów, przeniesiono do starego muzeum i zastąpiono pierwszym lepszym marmurem.

Posąg księcia orleańskiego, stojący w drugim przedsiionku, wyniesiono gdzieś i zastąpiono figurą Pompejusza, z twarzą, nogami i rękami złoconemi, pod którą, według podania, miał być zamordowany Cezar. Obraz twórców konstytucyi w trzecim przedsiionku, przedstawiający Napoleona I, Ludwika XVIII

¹⁾ Królestwo zniesione, niech żyje Ludwik Blanc.

i Ludwika Filipa, zdjęto na rozkaz Ledru-Rollin'a i zastąpiono wspaniałym gobelinem, ze zbiorów w Garde-Meuble.

Obok owego trzeciego przedsionka mieści się dawna sala Izby Parów, zbudowana w r. 1805 dla Senatu. Sala ta, mała, wązka, ciemna, podtrzymywana chudemi kolumnami korynckimi, koloru mahoniu, z białemi głowicami, umeblowana była krzesłami i pulpitemi; krzesła wybite zielonym aksamitem w stylu cesarstwa, wszystko mahoniowe; podłoga z białych kostek marmurowych, poprzeczanych kwadratami ukośnemi z różowego marmuru Sainte-Anne; salę tę, pełną wspomnień, przechowano z religijną starannością i używano jej do poufnych zebrań Izby Parów, od czasu zbudowania nowej w r. 1840.

W tej starej sali Senatu sądzony był marszałek Ney. Ustawiono baryerę na lewo od kanclerza, prezydującego Izbie. Marszałek siedział za nią, mając po prawej ręce pana Berryer'a ojca, a pana Dupin starszego po lewej, i trzymając nogi na jednym z tych kwadratów ukośnych, w środku którego, ponurym zbiegiem okoliczności, mozaika marmurowa układała się w trupa głowę¹⁾. Później kwadrat ten wyjęto i zastąpiono innym.

¹⁾ Michał Ney, jeden z najdzielniejszych generałów napoleońskich, ten sam, dla którego Napoleon stworzył tytuł księcia Moskwy, przerzucił się jednak od Napoleona do Burbonów; po ostatecznem rozbięciu pierwszego pod Waterloo i po kapitulacyi Paryża, uchodząc do Szwajcaryi, był schwytany i z wyroku sądu rozstrzelany w Ogrodzie Luksemburskim.

Po wypadkach lutowych, wobec zamieszek ulicznych, trzeba było rozmieszczać żołnierzy w pałacu i z dawnej sali Senatu zrobiono kordegardę. Pulpity senatorów Napoleona i Parów Restauracyi poszły na strych, a krzesła kuralne służyły za łóżka dla żołnierzy.

W pierwszych zaś dniach czerwca 1849, zwiedzając salę Izby Parów, znalazłem ją taką, jaką pozostawiłem przed siedemnastu miesiącami, gdym w niej zasiadał po raz ostatni 28-go lutego 1848 roku.

Wszystko w niej było na swoim miejscu, w głębokim spokoju i porządku. Rzekłbyś, że zamknięto posiedzenie przed kwadransem.

IV.

SYLWETKI POSŁÓW ZE ZGROMADZENIA NARODOWEGO.

Odilon Barrot.

Odilon Barrot wchodzi na mównicę stopień po stopniu, starając się o powagę, zanim okaże wy-
mowę.

Następnie kładzie prawą rękę na stole mówni-
cy, lewą odrzuca w tył na plecy i tym sposobem
okazuje się zgromadzeniu bokiem, w postawie atlety.

Ubrany zawsze czarno, starannie i równo za-
pięty.

Mowa jego, zrazu wolna, ożywia się stopnio-
wo, podobnie jak i jego myśli. Ale ożywiając się,
głos mu chrypnie, a myśl zaciemnia się. Ztąd pe-
wne wachanie się w audytoryum: jedni źle słyszą,
drudzy nie rozumieją. Naraz z chmury wybiega błyskawica i wszyscy są olśnieni.

Różnica między tego rodzaju mówcami a wiel-
kim Mirabeau jest ta, że oni mają błyskawice, ale on
tylko jeden miał pioruny.

Pan Thiers.

Pan Thiers chce traktować ludzi, idee i wypadki rewolucyjne według rutyny parlamentarnej. Kręci swoją starą konstytucyjną pozytywką, opiewając przepaści i wybuchy czynników chimerycznych i nie przewidzianych. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że wszystko się przeobraziło; znajduje podobieństwa między naszą epoką i tą, w której on rządził, i ztąd wszystko snuje. Podobieństwa te istnieją niewątpliwie, ale dziś miesza się do nich coś olbrzymiego i potwornego zarazem; a tymczasem pan Thiers wca się tego nie domyśla i jedzie dalej. Spędził on swoje życie na pieszczaniu kotów, na ugłaskiwaniu ich również kociemi sposobami. Dziś chce się trzymać tej samej metody, a nie spostrzega tego, że z kociąt zrobiły się dzikie zwierzęta. Zabawny widok małego człowieczka, usiłującego swoją drobną ręką pogłaskać paszczę ryczącego łba rewolucyi!

Gdy panu Thiersowi ktoś przerwie jego mowę, irytuje się, zakłada ręce, rozkłada je gwałtownie, następnie prowadzi je do ust, do nosa, poprawia okulary, wreszcie wzrusza ramionami i kończy, chwytając się konwulsyjnie obydwoma rękami za tył głowy.

Czułem zawsze dla tego sławnego męża stanu, dla tego znakomitego mówcy, dla tego miernego pisarza, dla tego małego i ciasnego serca, coś w rodzaju podziwu, odrazy i lekceważenia zarazem.

D u f a u r e.

Pan Dufaure jest adwokatem z Saintes i był pierwszym adwokatem w tem mieście około r. 1833. To go posunęło aż do Izby.

Pan Dufaure przybył do niej z akcentem prowincjonalnym i zakatarzonym, bardzo zabawnym. Ale był to umysł jasny, niekiedy aż do świetności, ścisły niekiedy aż do stanowczości.

Obok tego wymowę miał powolną i chłodną, ale pewną i stałą, rozsuwającą spokojnie nagromadzone przed nim trudności.

Miał powodzenie. Został posłem, potem ministrem. Nie jest to mędrzec, ale jest to człowiek prawy i poważny, który piastował władzę bez wielkiej chwały, ale uczciwie, i który na mównicy nie jest świetnym, ale jest słuchanym.

Osoba jego podobną jest do jego talentu: ma w sobie godność i prostotę, chociaż niema ani blasku, ani barwy.

Przychodzi do Izby zapięty, w tużurku ciemnoszarym, w czarnym krawacie, w kołnierzyku od koszuli sięgającym aż po uszy. Ma nos gruby, szerokie usta, gęste brwi, oko inteligentne i surowe, a włosy siwawe w nieładzie.

C h a n g a r n i e r.

Changarnier ma minę starego akademika, podobnie jak Soult ma minę starego biskupa.

Liczy on sześćdziesiąt cztery, lub pięć, lat, ma szyję długą i suchą, mowę łagodną, wyraz uprzejmy

i wiecznie ten sam, perukę ciemno-blond, jak Pasquier, i uśmiech podchlebny, jak Brifaut.

Jest to zresztą człowiek małowówny, śmiały, obrotny, skory do czynu, ale dwulicowy i niejasny.

Siedzi on w Izbie na końcu czwartej ławki ostatniej sekcji lewej, tuż nad Ledru-Rollin'em.

Siedzi zwykle z rękami założonemi. Ławka Ledru-Rollin'a i Lamennais'go bywa najczęściej wzburzoną z całej lewicy. Lecz gdy całe Zgromadzenie krzyczy, hałasuje, wyje, ryczy, wścieka się i burzy — Changarnier tylko ziewa.

L a g r a n g e.

Lagrange, jak powiadają, wystrzelił z pistoletu na bulwarze Kapucynek ¹⁾, a wystrzał ten był iskrą, która rozpałała namiętności i wznieciła pożar lutowy.

Tytułuje się on: więźniem politycznym i przedstawicielem ludu.

Lagrange ma szpakowate wąsy, brodę i również szpakowate, długie włosy; w działalności jego uderza jakby zgorzkniała wspaniałomyślność, litościwa gwałtowność i pewnego rodzaju rycerska demagogia; ma on w sercu taką miłość, która rozżarza nienawiści; jest długi, smagły, chudy, młody zdaleka, stary zbliżka; pomarszczony, wystraszony, zachrypnięty, zahukany, dużo gestykujący, bardzo blady, a wzrok ma szaleńca; jest to Don Kiszot Góry. I on

) Pogłoska ta okazała się później fałszywą.

też atakuje swoją lancą wiatraki, to znaczy kredyt, porządek, pokój, handel, przemysł, cały mechanizm, z którego się rodzi chleb. Obok tego brak mu pomysłów: przeskakuje wiecznie od sprawiedliwości do szału i od serdeczności do pogróżek. Proklamuje, aklamuje, reklamuje i deklamuje. Wymawia *citoyens*¹⁾). Jest to jeden z tych ludzi, których można nie brać seryo, ale których niekiedy jest się zmuszonym brać tragicznie.

P r o u d h o n .

Proudhon urodził się w r. 1808. Ma rzadkie blond włosy, których nigdy porządnie nie czesze i z których jeden kosmyk sterczy mu zawsze nad czołem wysokiem i rozumnym. Nosi okulary. Wzrok jego jest zarazem mętny, przenikliwy i stały. Ma coś z doga w swoim splaszczonym nosie i coś małpiego w swoim, okrążającym twarz, zaroście. Usta jego, o grubej wardze dolnej, wyrażają zazwyczaj dobry humor. Ma akcent z nad granicy szwajcarskiej, łyka zgłoski środkowe, a przedłuża końcowe; umieszcza *accent circonflexe* nad każdym *a* i podobnie, jak Karol Nodier, wymawia: *honorâble, remarquâble*. Mówi źle, ale pisze dobrze. Na mównicy cała jego gestykulacya sprowadza się do krótkich, gorączkowych uderzeń płaską dłońią o manuskrypt. Niekiedy gniewa się i pieni, lecz na zimno. Główną cechą jego

¹⁾ Zamiast *citoyens* czyt. *situaję* (obywatele).

zachowania i jego fizyognomii jest pomieszanie za-
kłopotania z pewnością siebie.

Piszę to w chwili, gdy przemawia z trybuny.

Antony Thouret spotkał raz Proudhon'a.

— Źle idzie—mówi Proudhon.

— Czemuż pan to przypisujesz nasze kłopoty?—
pyta Thouret.

— *Pardieu!* wszystkiemu winni socjaliści.

— Jakto, socjaliści! alboż pan sam nie jesteś
socjalistą?

— Ja, socjalistą! także!

— Taak; więc cóż pan jesteś?

— Ja jestem finansistą.

B l a n q u i.

Podczas ośmiu miesięcy więzienia, które odsia-
dywał w Vincennes za sprawę 15-go maja, Blanqui
jadł tylko chleb i surowe ziemniaki, odmawiając in-
nego pożywienia. Tylko matka wymogła na nim od
czasu do czasu, że wypił trochę bulionu.

Doszedł do tego, że nie kładł już koszuli. No-
sił toż samo odzienie od lat dwunastu, swoje odzie-
nie więzienne, lachmany, któremi się popisywał z po-
nurą próżnością w swoim klubie. Zmieniał tylko bu-
ty i rękawiczki, zawsze czarne.

Pomimo to wszystko mył się często, łącząc
czystość z cynizmem; miał małe ręce i małe nogi.
Był w tym człowieku arystokrata, podeptany przez
demagoga.

Głęboko zręczny, bez żadnej obtudy; zawsze
jednak w życiu poufnem i publicznem. Szorstki

twardy, poważny, nie śmiejący się nigdy, płacący za szacunek ironią, za uwielbienie sarkazmem, za miłość lekceważeniem i wzbudzający mimo to, a może właśnie dlatego, nadzwyczajne, fanatyczne poświęcenia.

Nie było w Blanqui'm nic z ludu, ale wszystko z pospólstwa. Zresztą, uczony, prawie erudyta. W pewnych chwilach nie był to już człowiek, był to rodzaj ponurego widziadła, w którym znajdowały wcielenie wszystkie nienawiści, zrodzone ze wszystkich rodzajów nędzy.

Dziwna postać fanatyka na zimno, nie pozbawionego dzikiej wielkości.

Po wypadkach lutowych Blanqui wychodzi z więzienia, odrazu kwaśny i niezadowolony; odrazu ten dziki kochanek bezwzględności wypowiada wojnę Republice, nazywanej przezzeń wsteczną i bękarcią. Chce wypędzić Lamartine'a, chce przewrócić Ledru-Rollin'a.

Pewnego poranku przychodzi do redakcyi *Reformy*, której naczelnym kierownikiem jest jego stary przyjaciel, Ribeyrolles.

— Przychodzę—mówi do tego ostatniego—prosić cię o ogłoszenie w „Reformie”, zebrania mego klubu na jutro.

Ribeyrolles, natura wylana, człowiek czynu i myśli, ale także i serca, podbiega do niego, ściskając go w swych objęciach:

— Ach! jesteś nareszcie! Jakżem kontent, że cię widzę! Nic się nie zmieniłeś! Lecz jakże się to stało, że nikt cię jeszcze nie widział, chociaż już od dziesięciu dni jesteś wolny? Mniejsza o mnie, ale

twoja matka, twoja matka, która cię uwielbia!... Biedne kobiecisko wyczekiwało cię od rana do nocy. Ze dwadzieścia razy już była w redakcyi, dopytując się o ciebie. Pragnie cię uściskać, płacze, umiera z niepokoju...

— No, ale nie mówisz mi — odpowiada Blanqui—czy ogłosisz o moim klubie?

L a m a r t i n e.

23 lutego, 1850.

Podczas posiedzenia Lamartine usiadł koło mnie, na miejscu, zajmowanem zwykle przez pana Arbey.

Rozmawiając, rzucał od czasu do czasu docink mówcom.

Przemawiał Thiers.

— Dudek!—mruknął Lamartine.

Potem przyszedł Cavaignac.

— Co pan myślisz o nim?—pyta Lamartine.— Co do mnie, to ja myślę tak: jest on szczęśliwy, jest dzielny, jest szczery, jest gaduła — ale przede-wszystkiem jest głupi.

Po Cavaignac'u nastąpił Arago. Zgromadzenie było burzliwe:

— Co do tego, ma on za małe ręce do roboty, której się podejmuje. Rzuca się chętnie w zaburzenia, a potem nie wie, jak z nich wybrnąć. Burza go pociąga i zabija.

Po chwili wszedł na trybunę Jules Favre.

— Nie rozumiem—mówił Lamartine—z kąd oni

widzą węża w tym człowieku. Jest to akademik z prowincyi.

Śmiejąc się, wziął arkusz papieru z mojej szuflady, zażądał pióra, poprosił o szczyptę tabaki Savatiera-Laruche, i napisał kilka wierszy. Co uczyniwszy, wszedł na mównicę i rzucił Thiersowi, napadającemu na rewolucyę ludową, poważne i wyniosłe słowa. Poczem wrócił na naszą ławkę, uściśnął mi rękę w chwili, gdy lewica biła brawo, a prawica oburzała się, i wysypał spokojnie tabakę z tabakierki Sabatier'a do swojej.

Boulay de la Meurthe.

P. Boulay był to poczciwy grubas, łysy, mały a olbrzymi, o bardzo krótkim nosie i niezbyt długim rozumie.

Był przyjacielem Harel'a, do którego mówił: *mój kochany*, i Hieronima Bonapartego, którego tytułował *Najjaśniejszym Panem*.

Zgromadzenie wybrało go 20 stycznia na wiceprezydenta Republiki.

Stało się to trochę nagle i niespodziewanie dla wszystkich, tylko nie dla niego. Spostrzeżono zbyt ni pośpiech, gdy Bouley wstąpił na trybunę i złożwszy przysięgę, wypowiedział długą mowę, wyuczoną na pamięć.

Skoro skończył, Zgromadzenie przyklasnęło, ale po oklaskach nastąpił śmiech. Wszyscy się śmieli, więc i on także; Zgromadzenie przez ironię, on zaś w dobrej wierze.

Odilon Barrot, od wczorajszego wieczora żalujący, że się nie dał wybrać wice-prezydentem, spoglądał na tę scenę, wzruszając ramionami, z gorzkim uśmiechem.

Zgromadzenie przypatrywało się Boulay'owi odbierającemu powinszowania z widocznym zadowoleniem, i we wszystkich oczach można było wyczytać uwagę: patrzcie! on bierze siebie na seryo!

W chwili, gdy wymawiał słowa przysięgi, głosem tak donośnym, że aż budził uśmiechy, Boulay de la Meurthe miał minę Republiki w zachwycie, ale Zgromadzenie nie miało miny zachwyconego panem Boulay de la Meurthe.

V.

Ludwik Bonaparte.

I.

Pierwsze kroki.

Przybywszy do Paryża, Ludwik Bonaparte zamieszkał na placu Vandôme. Odwiedziła go panna Georges. Rozmawali dość długo. W ciągu rozmowy Ludwik Bonaparte poprowadził pannę Georges do okna, z którego widać było kolumnę Vendôme, i rzekł:

— Spędzam dnie, patrząc na kolumnę.

— To bardzo wysoko! — odpowiedziała panna Georges.

24 września 1848.

Ludwik Napoleon ukazał się dziś w Zgromadzeniu. Usiadł w siódmej ławce trzeciego oddziału na lewo, między p. Vieillard i p. Havin.

Wydaje się młodym, ma wąsy i napoleonkę czarną, przedział między włosami. Krawat czarny,

surdut czarny opięty, kołnierz wyłożony, rękawiczki białe. Perrin i Leon Faucher, siedzący tuż pod nim, nie obrócili głowy. W kilka chwil potem trybuny zaczęły lornetować księcia, a książę zaczął lornetować trybuny.

26 września.

Ludwik Bonaparte wstąpił na mównicę (godz. 3¹/₄). Surdut ma czarny, spodnie szare. Czytał, trzymając zmięty papier w ręce. Słuchano go w głębokim milczeniu. Słowo *compatriotes* (rodacy) wymówił z akcentem cudzoziemskim. Gdy skończył, odezwało się kilka głosów: niech żyje Republika!

Wrócił wolno na swoje miejsce. Jego kuzyn Napoleon, syn Hieronima, ten, który tak przypomina cesarza, przyszedł mu wieszować ponad głowę p. Vieillard.

Zresztą usiadł, nie rzekłszy słowa do swoich sąsiadów. Milczy, ale wydaje się raczej zakłopotanym, niż milczącym.

6 października.

Gdy rozprawiano o kwestyi wyboru prezydenta, Ludwik Bonaparte nie pokazał się w Zgromadzeniu. Jednakże, gdy miano debatować nad wnioskiem Antoniego Thouret, wyłączającym od wyboru członków rodzin królewskich i cesarskich, zjawił się.

Usiadł na końcu swojej ławy, obok swego dawnego nauczyciela, p. Vieillard, i słuchał w milczeniu, już to opierając podbródek na dłoni, już to skubiąc wąsy.

Nagle wstał i skierował się wolnym krokiem ku mównicy, wśród nadzwyczajnego wzburzenia. Jedna część Zgromadzenia krzyczała: do głosu! druga krzyczała: prosimy!

Na mównicy był p. Sarrans. Przewodniczący rzekł:

— P. Sarrans ustępuje swego głosu p. Ludwikowi Napoleonowi Bonaparte.

Powiedział tylko kilka słów, nic nie znaczących, i zszedł z mównicy, wśród śmiechu zdumionego Zgromadzenia.

Listopad 1848.

Byłem na obiedzie 19 listopada u Odilona Barrot w Bougival.

Byli tam pp.: Rémusat, de Tocqueville, Girardin, Leon Faucher, jeden członek parlamentu angielskiego z żoną, brzydką, ale z pięknymi zębami i niegłupią, wreszcie pani Barrot i jej matka.

Ku środkowi obiadu przyszedł Ludwik Bonaparte ze swym kuzynem, synem Hieronima, i panem Abbatucci, posłem.

Ludwik Bonaparte jest dystyngowany, chłodny, słodki, inteligentny, z pewną miarą uprzejmości i godności, wygląda na Niemca, nosi wąsy czarne i nie ma żadnego podobieństwa do cesarza.

Mało jadł, mało mówił, mało się śmiał, chociaż wszyscy byli bardzo weseli.

Pani Barrot posadziła go obok siebie z lewej strony, a Anglika z prawej.

P. Rémusat, siedzący między księciem i mną, powiedział do mnie dość głośno, aby mógł być słyszany przez Ludwika Napoleona:

— Ja życzę powodzenia Napoleonowi, a głosuję za Cavaignac'iem.

Ludwik Bonaparte jadł wtedy kiełbiki smażone *à la levrette* pani Odilon Barrot.

II.

Grudzień 1848.

Proklamacya Ludwika Bonapartego na prezydenta Rzeczypospolitej odbyła się 20 grudnia.

Pogoda cudowna aż do tej pory i przypominająca raczej początek wiosny niż początek zimy, zmieniła się nagle. Był to pierwszy mroźny dzień w tym roku. Przesady ludowe mogły być powiedzieć, że słońce z pod Austerlitz zachmurzyło się.

Wybór przyszedł do skutku dość niespodzianie. Zapowiadano go na piątek, tymczasem odbył się nagle w środę.

Okolo godziny trzeciej wszystkie dostępy do Zgromadzenia zajęło wojsko. Pułk piechoty skupił się za pałacem d'Orsay; pułk dragonów rozstawił się na wybrzeżu. Kawalerzyści trzęśli się z zimna i nie zdradzali humoru.

Ludność zaczęła się gromadzić, niespokojna, bo nie wiedziała, co to wszystko ma znaczyć.

Od kilku dni mówiono coś niewyraźnie o ruchu bonapartystowskim. Opowiadano, że jakoby

przedmieścia mają ruszyć na Zgromadzenie z okrzykiem: Niech żyje cesarz! Na dzień przedtem renta państwowa spadła o trzy franki.

Napoleon Bonaparte, syn Hieronima, przyszedł do mnie bardzo zaalarmowany. Zgromadzenie miało wygląd placu publicznego. Były to raczej grupy posłów niż parlament. Rozprawiano wprawdzie na mównicy, ale nikt nie słuchał. Chodziło wszakże o wniosek bardzo użyteczny, dążący do uregulowania sprawozdań parlamentarnych i zastąpienia drukarni państwowej, dawnej drukarni królewskiej, drukarnią „Monitora”. Mówił kwestor, p. Bureau de Puzy.

Nagle całe Zgromadzenie zostaje poruszone, salę zalewa gromada posłów, wchodzących drzwiami z lewej strony. Mówca zatrzymuje się.

Była to komisya skrutacyjna, której polecono obliczenie głosów, przychodząca ogłosić nowego Prezydenta Rzeczypospolitej.

Była godzina czwarta. Świeczniki już zapalono; tłumy na galeryach, ława ministrów w komplecie.

Cavaignac, spokojny, ubrany w czarny surdut bez orderów, siedział na swoim miejscu. Trzymał prawą rękę na piersiach pod surdudem i nie odpowiadał panu Bastide, który chwilami pochylał mu się do ucha.

P. Fayet, biskup orleański, siedział na krześle przed generałem—co dało powód biskupowi z Langres, księdzu Parisis, do powiedzenia:

— To miejsce dla psa—a nie dla biskupa.

Lamartine'a nie było.

Sprawozdawca, p. Waldeck-Rousseau, odczytał mowę chłodną, chłodno też słuchaną. Gdy doszedł do wyliczenia głosów oddanych i gdy wymienił cyfrę Lamartine'a: 17,910, prawica wybuchnęła śmiechem¹⁾. Marna zemsta, nędzny przyczynek niepopularności wczorajszych niepopularnościom jutrzejszym!

Cavaignac pożegnał się kilku słowami pełnymi godności i treściwości, którym wszyscy przyklasnęli. Oznajmił, że całe ministeryum podaje się do dymisji i że on składa władzę. Dziękował Zgromadzeniu głosem wzruszonym. Widziałem łzy w oczach kilku posłów.

Następnie przewodniczący Marrast ogłosił „obywatela Ludwika Bonaparte” Prezydentem Rzeczypospolitej.

Kilku posłów, siedzących obok ławki, zajmowanej przez Bonapartego, klaskało w dłonie. Reszta Zgromadzenia zachowała milczenie grobowe. Opuzczano kochanka dla męża.

Armand Marrast wezwał wybrańca kraju do złożenia przysięgi. Zrobił się ruch.

¹⁾ W głosowaniu powszechnem na Prezydenta (10 grudnia 1848) wybór wahał się między Cavaignac'iem a Ludwikiem Bonaparte. Pierwszy jednak, mając za sobą tylko czystych republikanów, a przeciw sobie wszystkie stronnictwa monarchiczne i socjalistów, otrzymał tylko 1,400,000 głosów, gdy drugi zdobył 5,500,000. Liczba więc głosów Lamartine'a była śmiešno małą.

Ludwik Bonaparte, w surducie z oznaką poselską i gwiazdą legii honorowej na piersiach, wszedł przez drzwi z prawej, wstąpił na mównicę, wypowiedział spokojnym głosem przysięgę, którą mu przewodniczący Marrast podpowiadał, brał Boga i ludzi na świadków wierności, następnie odczytał swoim akcentem cudzoziemskim, który nie robił dobrego wrażenia, mowę, przerwana parę zaledwie razy szmerem uznania ¹⁾).

Była to pochwała Cavaignac'a, co się podobało i zjednało mu oklaski.

Po kilku minutach zszedł z mównicy, nie zagłuszony oklaskami, jak Cavaignac, ale jednym olbrzymim okrzykiem:

— Niech żyje Rzeczpospolita! Jeden głos odezwał się: — Niech żyje Konstytucya!

Przed wyjściem, Ludwik Bonaparte poszedł uścisnąć dłoń p. Vieillard, swemu dawnemu nauczycielowi, siedzącemu w ósmym oddziale na lewo.

Następnie przewodniczący wezwał biuro, żeby towarzyszyło Prezydentowi Republiki aż do palacu i żeby mu oddało honory należne *jego randze*.

Wyraz ranga wywołał szemrania Góry. Ja zawołałem z mojej ławki:

— *Jego urzędowi!*

¹⁾ Ludwik Bonaparte nie miał wielu stronników w Izbie Wyptął głównie dzięki sile tradycyji napoleońskich, żyjących jeszcze na prowincyi.

Przewodniczący oznajmił, że p. Prezydent Rzeczypospolitej polecił panu Odilon Barrot utworzyć ministerium, że Zgromadzenie będzie powiadomione listownie o nowym gabinecie i że zresztą jeszcze dziś wieczorem będzie rozdany posłom dodatek do *Monitora*.

Zauważono, bo uważano na wszystko w dniu tym, rozpoczynającym nową fazę stosunków, że przewodniczący Marrast nazywał Ludwika Bonaparte *obywatelem*, a Odilon Barrot *panem*.

Tymczasem woźni z szefem swym Duponceau na czele, oficerowie Izby, kwestorzy, a między nimi generał Lebreton w galowym mundurze, zgrupowali się pod mównicą; przyłączyło się do nich sporo posłów; zrobił się ruch, oznaczający, że Ludwik Bonaparte będzie gmach opuszczał. Niektórzy zaczęli wstawać, rozległy się więc głosy: siadać! siedzieć!

Ludwik Bonaparte ukazał się. Niezadowoleni, chcąc wyrazić lekceważenie, mieli zamiar prowadzić dalej dyskusję nad drukarnią. Ale Zgromadzenie zbyt było wzburzone, żeby módz choćby tylko usiedzieć na ławkach. Zaczęli się podnosić z ławek gromadnie i opuszczać salę.

Była godzina wpół do piątej — wszystko więc razem trwało pół godziny.

Ponieważ wychodziłem sam, unikany jak człowiek, któremu się nie udało, albo który nie chciał korzystać z okazji zostania ministrem, zetknąłem się w przedśionku z grupą, w której zauważyłem Montalembert'a i Changarnier'a w mundurze generał-lejtenanta gwardyi narodowej. Changarnier wracał właśnie, odprowadziwszy Ludwika Bonaparte do Pa-

łacu Elizejskiego. Słyszałem, jak mówił: wszystko odbyło się dobrze.

Gdym się znalazł na placu Rewolucyi, nie było już ani wojsk, ani ludzi, wszystko znikło. Małe grupy wracały z pól Elizejskich. Noc była ciemna i zimna, ostry przewiew dochodził od rzeki, a jednocześnie wielka czarna chmura czołgała się po niebie ku zachodowi, obrzucając widnokrąg cichemi błyskawicami. Wiatr grudniowy, zmieszany z sierpniową błyskawicą — takimi były znaki niebieskie tego dnia pamiętnego.

III.

Pierwszy obiad.

24 grudnia 1848.

Ludwik Bonaparte wydał pierwszy swój obiad wczoraj, 23-go, we dwa dni po obraniu go Prezydentem.

Izba świętowała, z powodu Bożego Narodzenia. Siedziałem w domu, w mojem nowem mieszkaniu przy ulicy de la Tour d'Auvergne, zajęty nie pamiętam jakimi już drobiazgami, *totus in illis* ¹⁾, gdy mi wręczono list pod moim adresem, przyniesiony przez dragona.

Rozdarłszy kopertę, wyczytałem co następuje:

„Oficer ordynansowy na służbie ma zaszczyt zawiadomić pana generała Changarnier, że jest zaproszony na obiad w Pałacu Elizejskim, dziś, w sobotę, o 7-ej.“

Napisałem pod spodem:

¹⁾ Cały w nich pogrążony. (P. T.).

„Oddane przez omyłkę p. Wiktorowi Hugo“ i odesłałem list przez dragona, który go przyniósł.

W godzinę potem nadszedł list pana de Persigny, dawnego towarzysza spisku księcia Ludwika⁴ a obecnie jego sekretarza.

List ten zawierał mnóstwo przeproszeń za omyłkę i uprzedzał mnie, że należę do liczby zaproszonych, tylko że list wysłano przez nieuwagę posłowi korsykańskiemu, panu Conti.

W nagłówku listu Persigny'ego dopisane było ręką: *Dom Prezydenta*.

Zauważyłem, że forma tych zaproszeń była całkiem podobną do tej, jakiej używał Ludwik Filip.

Ponieważ nie chciałem okazywać wyrachowanego chłodu, zacząłem się ubierać. Było już wpół do siódmej—i poszedłem do pałacu.

Gdym wchodził, biło wpół do 8-ej.

Brama była przez pół zamknięta, strzegło jej dwóch żołnierzy z piechoty; podwórze zaledwie oświetlone; przechodził przez nie mularz w swem ubraniu od pracy, niosąc drabinę na ramieniu; prawie wszystkie szyby okien na prawo były potłuczone i zalepione papierem.

Wszedłem przez drzwi peronu.

Przyjęło mnie trzech lokajów w czarnych frakach; jeden otworzył przedemną drzwi, drugi wziął ze mnie płaszcz, trzeci zaś rzekł:

— Panie! Pierwsze piętro!

Wszedłem po „schodach honorowych.“

Był na nich wprowadzie i dywan i kwiaty, ale

zarazem coś zimnego i nieskładnego, czuć było świeżą przewodzkę.

Na pierwszym piętrze szwajcar mówi mi:

— Pan przychodzi na obiad?

— Tak—rzekłem—a czy już są przy stole?

— Tak, panie!

— W takim razie odchodzę.

Szwajcar zaprotestował.

— Ależ, panie! prawie wszyscy przyszli, gdy już siedziano przy stole, proszę wejść. Liczą na pana.

Zauważyłem tę punktualność wojskową i cesarską, która była cechą Napoleona. U cesarza siódma, to była siódma.

Przeszedłem przedpokój, potem salon, w którym zostawiłem mój płaszcz, i wszedłem do sali jadalnej.

Był to pokój kwadratowy, wykładany białym drzewem w stylu Cesarstwa. Na ścianach ryciny i obrazy, najnędniejszego wyboru, między innymi Marya Stuart słuchająca Rizzia, pendzla Ducis'a. Dookoła sali bufet. W środku stół długi, zaokrąglony na końcach, przy którym siedziało z piętnastu biesiadników. Stół ten miał wzniesiony koniec, skierowany w głąb sali, przy którym siedział Prezydent Rzeczypospolitej. Obok niego dwie kobiety: na prawo pani markiza du H.; na lewo pani Conti, matka posła.

Prezydent wstał, gdy wszedłem. Zbliżyłem się do niego. Podał mi rękę:

— Zaimprovizowałem ten obiad—rzekł — mam tylko kilku drogich przyjaciół. Przypuszczalem, że zechcesz pan przyłączyć się do nich. Dziękuję panu, żeś przyszedł. Przyszedłeś do mnie, jak ja do pana, bez ceremonii. Dziękuję panu.

I jeszcze raz ujął mnie za rękę.

Książę de la Moskowa ¹⁾, siedzący obok generała Changarnier, zrobił mi miejsce przy sobie i siadłem do stołu. Spieszylem się, polykając szybko, ponieważ Prezydent przerwał dla mnie obiad. Było to po drugim daniu.

Naprzeciw mnie siedział generał Rulhières, były par Francyi, minister wojny, poseł Conti, i Lucyan Murat. Reszty nie znałem. A był między nimi młody dowódca szwadronu, ozdobiony Legią honorową. On jeden tylko w mundurze, inni we frakach. Książę miał frak nowy z rozetką Legii w butonierce.

Każdy rozmawiał z sąsiadką. Ludwik Bonaparte zdawał się przenosić sąsiadkę z prawej strony.

Markiza du H. ma lat 34 i wygląda na tyle Piękne oczy, niezbyt gęste włosy, usta brzydkie, płeć biała, biust wspaniały, ramiona cudowne i najpiękniejsze rączki na świecie. Jest obecnie w separacyi z panem du H. Miała ośmioro dzieci, siedem pierw-

¹⁾ Tak piszą Francuzi tytuł, otrzymany przez marszałka Ney'a po bitwie nad rzeką Moskwą, 7 września 1812 r. i zachowany przez jego potomków. (*P. Tł.*)

szych ze swoim mężem. Wyszła za mąż przed piętnastu laty. W początkach małżeństwa wywoływała męża z salonu w biały dzień, mówiąc: — No, chodź! i prowadziła go do siebie.

Niekiedy też służący przychodził, mówiąc:—Pani markizowa prosi pana markiza.—I markiz słuchał. A obecni śmieli się. Dziś markiz i markizowa są w rozterce.

— Wiesz pan — mówił mi na ucho książę Moskwy — była kochanką Napoleona, syna Hieronima, dziś zaś należy do Ludwika.

— Ha — odrzekłem — wymienić *Napoleona* za *Ludwika* ¹⁾ wszakże to się codzień przytrafia!

Te złośliwe dwuznaczniki nie przeszkadzały mi jeść—i obserwować.

Dwie kobiety, siedzące po bokach prezydenta, miały krzesła od góry kwadratowe, jego zaś krzesło miało wystawkę zaokrągloną. W chwili, gdym chciał ztąd wyciągnąć wniosek, spostrzegłem, że cztery, czy pięć innych, a w tej liczbie i moje, miało podobny fason, jak krzesło prezydenta. Wszystkie były pokryte czerwonym aksamitem i nabijane złoconymi gwoździkami. Poważniejszym spostrzeżeniem było to, że wszyscy obecni nazywali Prezydenta *Monseigneur*'em i *Wysokością*. Ja, tytułując go *księciem*, robiłem na nich wrażenie demagoga.

Gdy powstano od stołu, książę pytał mnie o zdrowie mojej żony i bardzo się tłumaczył z niedostateczności obsługi.

¹⁾ Złote monety dwudziestofrankowe. (*P. TI*).

— Nie jestem jeszcze zagospodarowany — mówił. — Przedwczoraj, gdym tu przybył, miałem zaledwie materac do spania.

I nic dziwnego, bo łóżko stał Cavaignac Bonapartemu.

Obiad był mierny i książę nie bez słuszności się usprawiedliwiał. Porcelana biała, pospolita, srebro mieszczańskie, zużyte i grubej roboty. Na środku stołu stał dość piękny wazon porcelanowy, pokryty bruzdowaną emalią i oprawny w złożony bronz lichego smaku w stylu Ludwika XVI.

Z tem wszystkiem w sąsiedniej sali usłyszeliśmy muzykę.

— To niespodzianka — rzekł prezydent; są to artyści opery.

Po chwili podano nam program pisany, obejmujący pięć numerów, a mianowicie:

1. Modlitwa z *Niemiej*;
2. Fantazyja na ulubione tematy z *Królowej Hortensyi*;
3. Finał z *Roberta Bruce*;
4. *Marsz republikański*;
5. *Zwycięztwo*, galopada.

W nastroju umysłu dość niepewnym, który podzielałem wówczas z całą Francją, nie mogłem nie zauważyć tego galopującego *Zwycięztwa*, następującego po *marszu republikańskim*.

Wstałem od stołu głodny.

Przeszliśmy do wielkiego salonu, oddzielonego od jadalni tym salonem, przez który wszedłem.

Ów wielki salon był bardzo brzydki, biały, z malowidłami w guście pompejańskim na ścianach, całe

umeblowanie w stylu Cesarstwa, z wyjątkiem foteli dywanowych w dość dobrym smaku, inkrustowanych i złożonych. Były trzy okna arkadowe, wyżłobione półkolisto, a naprzeciw nich wielkie zwierciadła podobnej formy, z których jedno, środkowe, stanowiło jednocześnie drzwi. Firanki z pięknego białego jedwabiu z obszyciem perskiem, bardzo bogatem.

Podczas gdy rozmawiał z księciem Moskwy o socyalizmie, o Górze, o komunizmie i t. p. rzeczach, Ludwik Bonaparte zbliżył się do mnie i wziął mnie na stronę.

Zapytał, co myślę o obecnem położeniu kraju. Byłem ostrożny w odpowiedzi. Powiedziałem mu, że rzeczy zapowiadają się dobrze, że zadanie jest ciężkie, ale wielkie; że trzeba zaspokoić mieszczactwo i zadowolnić lud; zapewnić jednym pokój, drugim pracę, a wszystkim życie; że po trzech *małych* rządach: Burbonów starszych, Ludwika Filipa i Republiki lutowej, potrzeba *wielkiego*; że cesarz (Napoleon I) dał nam rząd wielki wojną, jemu zaś wypadło stworzyć rząd wielki pokojem; że naród francuski, żyjąc w chwale od trzech wieków, nie chce się stać niegodnym; że właśnie zapomnienie o tej ambicyi ludu i o tej dumie narodowej przedewszystkiem zgubiło Ludwika Filipa; że, jednym słowem, należało uświetnić pokój.

— Ale jak?—wtrącił Ludwik Napoleon.

— Przez wszelkiego rodzaju wielkie dzieła sztuki, piśmiennictwa i nauki, przez zwycięstwa przemysłu i postępu. Praca ludu może stworzyć cuda. Przytem Francya jest narodem zdobywczym, jeśli

nie dokonywa zdobyczy orężnych, żąda zdobyczy duchowych. Wiedząc o tem, idzie się naprzód; ginie, kto o tem zapomina.

Zamyślił się nad tem, odszedł, a potem znów wrócił do mnie i rozmawialiśmy w dalszym ciągu.

Mówiliśmy o prasie. Radziłem mu bardzo ją oszczędzać i tylko obok prasy niezależnej wytworzyć państwową:

— Rząd bez dziennika, wśród tylu dzienników, ograniczający się do rządzenia, gdy inni wywierają swój wpływ i polemizują, byłby podobnym do owych rycerzy z XV wieku, którzy upierali się walczyć bronią białą przeciw broni palnej i zawsze ich bito. Przyznam panu, że to było szlachetne, ale pan mi przyzna, że było głupie.

Mówił mi o cesarzu.

— Tutaj to—opowiadał—widziałem go po raz ostatni. To też nie mogłem wejść do tego pałacu bez wzruszenia. Cesarz wezwał mnie do siebie i położył rękę na mojej głowie. Miałem wtedy lat siedem. Było to w wielkim salonie dolnym.

Potem mówił o Malmaison ¹⁾:

— Oszczędzono go. Zwiedziłem go szczegółowo przed sześciu tygodniami w następujących okolicznościach: pojechałem do Bougival odwiedzić Odilona Barrot. Zaproponował mi, żebym zjadł z nim

¹⁾ *La Malmaison*, pałac 1000 Rueil, w dep. Seine-et-Oise, niegdyś rezydencya Napoleona I i Józefiny.

obiad; — Bardzo chętnie, odrzekłem. Ale ponieważ jest dopiero trzecia, co będziemy robili do obiadu?— Jedźmy zwiedzić Malmaison. Pojechalismy we dwóch tylko. Przybywszy na miejsce, dzwoniemy. Szwajcar otworzył kratę, a p. Barrot rzekł:

— Chcielibyśmy zwiedzić pałac.

— Niepodobna—odpowiada szwajcar.

— Dlaczego niepodobna?

— Mam rozkaz.

— Od kogo?

— Od Jej Królewskiej Mości Królowej Krystyny, obecnej właścicielki pałacu.

— Ale ten pan jest cudzoziemcem, który umyślnie po to przyjechał!

— Niepodobna!

— To zabawne!—zawołał Odilon Barrot—żeby te drzwi były zamknięte dla bratanka cesarza.

Szwajcar zadrzał i rzucił czapkę na ziemię. Był to stary żołnierz napoleoński, któremu dano tu przytułek.

— Bratanek Cesarza! — zawołał. — Oh! Pani! Proszę wejść!

Chciał całować moje suknie.

Zwiedziliśmy pałac. Wszystko w nim prawie na swoim miejscu i prawie wszystko poznałem: gabinet pierwszego konsula, pokój mojej matki i mój. W wielu pokojach pozostały jeszcze też same meble. Odnalazłem nawet mój mały fotelik dziecinny.

Rzekłem do księcia:

— Tak to! Trony upadają, fotele pozostają.

W tej chwili weszło kilka osób, między innymi p. Duclerc, były minister skarbu Komisji Wykonawczej, potem jakaś nieznajoma mi sędziwa dama w aksamitach, potem lord Normanby, ambasador angielski, którego prezydent natychmiast poprowadził do sąsiedniego salonu.

Pamiętam, że tak samo brał go na stronę Ludwik Filip.

Prezydent miał wogóle minę bojaźliwą i jakby nie swoją. Chodził od kółka do kółka, raczej jak obcy człowiek zażenowany, niż jak pan domu.

Zresztą mówi on trafnie, a niekiedy dowcipnie.

Napróżno starał się wyciągnąć mnie na język co do swego ministerium. Nie chciałem mu o niem mówić ani źle, ani dobrze.

Tembardziej, że w gruncie rzeczy ministerium to jest tylko maską, albo raczej parawanem kryjącym magota. Za parawanem jest Thiers i to zaczyna krępować Ludwika. Musi on stawiać czoło ośmiu ministrom, z których każdy stara się go zmniejszyć. Każdy ciągnie nakrycie ku sobie, a jest między nimi i kilku stanowczych wrogów. Nominacje, awanse, listy, przychodzą gotowe z placu Saint-Georges, trzeba je tylko przyjąć, podpisać i wziąć na siebie.

Wczoraj Ludwik Bonaparte żalił się księciu Moskwy, mówiąc dowcipnie:

— Chcą ze mnie zrobić republikańskiego księcia Alberta.

Odilon Barrot zdaje się być smutnym i zniechęconym. Wyszedł dzisiaj z Rady przygnębiony. Spotkał go ksiązę Moskwy i zapytał:

— No i cóż, jak tam idzie?

Odilon Barrot odpowiedział:

— Módlcie się za nas!

— Do dyabła! Ależ to tragiczne!

— Cóż pan chcesz, żebyśmy poczęli? Jak odbudować to stare społeczeństwo, w którym wszystko się rozpada? Próby podparcia wstrząsają niem jeszcze bardziej. Co dotkniesz palcem, przewraca się. O tak! módl się pan za nas!

I wznosił oczy ku niebu.

Wyszedłem z Elizeum koło dziesiątej. Gdy się oddalał, prezydent rzekł mi:

— Zaczekaj pan chwilę.

Potem wszedł do sąsiedniego pokoju i po chwili wrócił z paczką papierów i wręczając mi je, dodał:

— Dla pani Hugo.

Były to bilety wejścia na przegląd w galerii du Garde-Meuble.

Wracając, myślałem; myślałem o tem nagłem wyniesieniu prezydenta, o tych próbach etykiety, o tej mieszaninie mieszczaństwa, republiki i imperyalizmu; o pozorach tego stanowiska poważnego, które dziś zowią Przewodnictwem Rzeczypospolitej, o otoczeniu, osobach i o całym tym wieczorze.

Nie należało to do mniejszych osobliwości, i do mniej charakterystycznych znamion chwili: widok tego człowieka, do którego można mówić, i do które-

go mówią, jednocześnie nawet: Książę, Wysokość, Pan, Monseigneur i Obywatel.

Wszystko, co się w tej chwili dzieje, wygląda na bigos hultajski i odbija się jak w swym symbolu, w tej osobistości „do wszystkiego“.

IV.

Pierwszy miesiąc.

Styczeń, 1849.

Skończył się pierwszy miesiąc prezydentury Ludwika Bonaparte — i oto jak rzeczy stoją w chwili obecnej:

Przedewszystkiem odnaleźli się bonapartyści. PP. Jules Favre, Billaut i Carteret dworują politycznie księżnej Matyldzie Demidow.

Księżna Orleańska mieszka z dwojgiem swych dzieci w Ems, gdzie zajmując mały domek, żyje biednie, ale jak królowa.

Wszystkie idee rewolucyi lutowej poszły w ką, jedna po drugiej; rok 1849 zawiedziony, odwraca się plecami do 1848. Generalowie chcą amnestyi; rozsądni pragnęliby się doczekać rozbrojenia. Zgromadzenie Narodowe jest wściekłe, że umiera. P. Guizot wydaje swe dzieło *O demokracji we Francyi*, Ludwik Filip jest w Londynie, Pius IX w Gaëte. Mieszkaństwo straciło Paryż, katolicyzm stracił Rzym.

U steru władzy jest p. Barrot. Pogoda dżdżysta i smutna, z promieniem słońca od czasu do czasu,

Panna Ozy pokazuje się całkiem nago w roli Ewy w teatrze Porte Saint-Martin; Fryderyk Lemaitre wystawia tam swoją *Oberżę Adrets'ów* ¹⁾. Piątkę płacą siedmdziesiąt cztery ²⁾; ziemniaki kosztują ośm *sous* za jeden *boisseau* ³⁾, a szczupaka można dostać w Hallach za franka.

P. Ledru-Rollin pobudza do wojny, a p. Proudhon do bankructwa. Generał Cavaignac przychodzi na posiedzenie Izby w popielatej kamizelce i spędza czas na lornetowaniu dam z galeryi wielką lornetką z kości słoniowej. P. Lamartine otrzymuje 25,000 fr. za swego *Toussaint-Louverture* ⁴⁾. Ludwik Bonaparte daje wielkie obiady dla Thiersa, który skłonił Lamartine'a do przyjęcia i dla Molé'go, który go potępił.

Wiedeń, Medyolan, Berlin uspokajają się. Rewolucye bledną i zdają się wszędzie gasnąć na powierzchni, ale powiew głębszy zawsze rozognia narody.

Król pruski przygotowuje się do pochwylenia nanowo swego berła, a cesarz rosyjski do wyjęcia miecza z pochwy.

Było trzęsienie ziemi w Hawrze i cholera w Fé-camp; Arnal opuszcza teatr Gymnase, a Akademia mianuje księcia de Noailles na miejsce Chateaubrianda.

¹⁾ Adrets, okrutny przywódca Hugonotów (P. T.)

²⁾ To znaczy za pięć-procentową rentę nominalnej wartości 100. (P. T.)

³⁾ Pół ćwierci hektolitra — 12 i pół litra. Jeden sous — 5 centimów — około 2 kop. (P. T.)

⁴⁾ Nazwisko czarnego bohatera powstania murzynów wyspy San Domingo przeciwko Francyi (1791—1796). (P. T.)

V.

Styczeń, 1849 r.

Na balu Odilon'a Barrot, dnia 28-go stycznia, Thiers spotyka p. Leona Faucher i mówi mu:

— Zrób pan prefektem Iksa.

Usłyszawszy nazwisko, p. Faucher krzywi się, co mu zresztą przychodzi z łatwością i mówi:

— Panie Thiers, są trudności...

— To szczególne — odpowiada Thiers — słowo w słowo tę samą odpowiedź dał mi w swoim czasie prezydent, gdym mu mówił:

— Zróbże pan Faucher'a ministrem!

Na tym balu zauważono, że Ludwik Bonaparte szukał Berryer'a, przyczepiał się do niego i brał go na stronę. Książę miał minę goniącego, a Berryer unikającego.

Okolo jedenastej prezydent rzekł do Berryer'a:

— Pójdiesz pan ze mną do opery?

Berryer wymawiał się.

— Książę — mówił on — toby zrodziło plotki, powiedzieliby, żeś poszedł na schadzkę miłosną.

— Ba!—odrzekł Bonaparte, śmiejąc się—postać nie można gwałcić.

I księżę poszedł sam, a po mieście zaczął krążyć czterowiersz:

En vain l'empire met du fard,
On baisse ses yeux et sa robe,
Et Berryer—Joseph se dé robe
A Napoléon—Putyphar ¹⁾.

Luty, 1849 r.

Pomimo najlepszych chęci i pewnej, bardzo widocznej dozy inteligencyi i zdolności, obawiam się, czy Ludwik Bonaparte nie upadnie pod ciężarem zadania. Dla niego Francya wiek, duch nowy, instynkty właściwe krajowi i epoce — są to księgi zamknięte. Patrzy on na wzburzenie umysłów, na Paryż, na wypadki, na ludzi, na rzeczy i idee—nie rozumiejąc. Należy do tej kategorii nieświadomych, których zowią książętami, i do tej kategorii cudzoziemców, których zowią emigracją. Nie jest nad niczem, a jest na zewnątrz wszystkiego. Dla każdego, kto go bada uważnie, wygląda on raczej na kierowanego, niż na rządzącego ²⁾.

¹⁾ Co w wolnym przekładzie możnaby wyrazić tak:

Próżne umizgi Ludwika,
Skromność pogardza ofiarą
I Berryer—Józef umyka
Przed cesarstwem—Putyfarą.

(P. T.).

²⁾ Przyszłość pokazała, że tym razem W. Hugo mylił się. Ob. uwagi końcowe.

(P. T.).

Nie ma w nim nic z Bonapartych, ani w twarzy, ani w ruchach i prawdopodobnie też do nich nie należy. Znane są luźne obyczaje królowej Hortensyi.

— Jest on pamiątką z Holandyi — jak się wyraził wczoraj Alexy de Saint Priest.

I w samej rzeczy, Ludwik Bonaparte ma coś holenderskiego w swym chłodzie.

Nie zna on Paryża tak dalece, że kiedyś go spotkał po raz pierwszy na ulicy Tour-d'Auverque, rzekł mi:

— Długom pana szukał. Byłem w dawnym pańskim domu. Co to jest ten plac Vosges?

— To plac Królewski.

— A! — odparł — czy to jest bardzo stary plac?...

Chciał odwiedzić Beranger'a, ale chodził dwa razy do Passy i nie mógł go znaleźć.

Jego kuzyn Napoleon lepiej wybrał godzinę i zastał Beranger'a, wygrzewającego się przez kominkiem.

Zapytał go między innymi:

— Co pan radzisz mojemu kuzynowi?

— Żeby szanował Konstytucję.

— A czego ma unikać, zdaniem pańskim.

— Gwałcenia Konstytucyi.

Nie można było nic więcej z niego wydobyć.

Wczoraj, 5-go grudnia 1850 r., byłem w Komedyi Francuskiej. Rachel grała Adryannę Lecou-

vreur. Hieronim Bonaparte siedział w łoży, sąsiadującej z moją.

Zaszedłem do niego podczas antraktu. Rozmawiając, uniósł się i mówił tak:

— Ludwik zwaryował. Strzeże się przyjaciół, a powierza się wrogom. Nie dowierza swojej rodzinie, a jednocześnie pozwala się wiązać starej partii królewskiej. Byłem lepiej przyjęty po moim powrocie do kraju przez Ludwika Filipa w Tuileries, niż przez mego siostrzeńca w Elizeum. Powiedziałem mu raz w obecności jednego z jego ministrów (Fould'a): Przypomnij sobie tylko! Kiedyś kandydował o prezydenturę, ten pan (wskazał na Fould'a) przyszedł do mnie na ulicę Algierską i prosił mnie, abym także postawił swoją kandydaturę, prosił mnie w imieniu Thiers'a, Molé'go, Davergier'a, Berryer'a i Bugeaud. Powiedział mi, że nigdy nie będziesz miał za sobą Constitutionnel'a; że ty jesteś dla Molé'go idiotą, a dla Thiers'a drewnianą głową; że tylko ja jeden mogłem zjednoczyć głosy i zwyciężyć przeciw Cavaignac'owi. Jednakże ja odmówiłem. Powiedziałem mu, że za tobą przemawia młodość i przyszłość, że ty masz jeszcze dwadzieścia pięć lat przed sobą, podczas gdy ja mam ich zaledwie osiem, lub dziesięć; że jestem inwalidem i prosilem, aby mnie zostawili w spokoju. Oto jak ci ludzie postępowali i jak postąpiłem ja, a ty to wszystko zapominasz! A ty pozwalasz tym panom burmistrzować! A twój krewny, mój syn, który cię bronił w Konstytuancie, który się poświęcił dla twojej kandydatury, ty go wyrzucasz za drzwi? A głosowanie powszechne, które cię zrobiło tem, czem jesteś — ty je łamiesz? Do-

prawdy, mógłbym powiedzieć tak jak Molé, że jesteś idiotą, albo tak jak Thiers, że masz głowę z drewna.

Król westfalski odetchnął przez chwilę, a potem dodał:

— A wiesz pan, panie Hugo, co on mi odpowiedział?—Odpowiedział mi tylko tyle:—*Zobaczycie.*

Nikt nie zna głębi duszy tego człowieka.

W tem miejscu kończy się część pamiętników, obejmująca epokę 48 r. Następuje luka dwudziestoletnia i zapiski, sposobem dyaryusza ułożone, z czasów oblężenia Paryża (1870). Ale są to już tylko luźne notatki.

Poprzestaniemy na dołączeniu kilku uwag o współczesnych i dalszych wypadkach.

W chwili, gdy Hieronim Bonaparte napróżno starał się przeniknąć głąb duszy Ludwika Napoleona, ten ostatni miał już w swojej, pozornie drewnianej głowie, najdokładniej i po mistrzowsku ułożony plan zamachu stanu.

Przygotowawszy grunt historycznemi swemi pracami, w których z powodzeniem suggestyjonował naród, że idea napoleońska jest istotnem i jedynie możliwem wcieleniem idei demokratycznych, z chwilą dojścia do prezydentury republikańskiej, zwoła zaczął zrzucać maskę, i ulegając pozornie sprzecznym zresztą wpływom ministrów, (bo tak ich sobie zrazu dobrał, żeby się wzajemnie paraliżowali), w gruncie rzeczy oparł się na stronnictwie konserwatywnem, używając za narzędzie nawet starych

rojalistów, którym poddawanie się zarzucał mu Hieronim. Piękne hasła postępowe, jak to już zauważył nasz autor w pierwszym miesiącu prezydentury, szły stopniowo w kął między niepotrzebne teatralne przybory.

Znajdując w umysłach narodu żywą jeszcze legendę napoleońską, umiał brak osobistych czynów zastąpić urokiem możliwych w przyszłości zdobyczy idei, której mienił się przedstawicielem.

Widzieliśmy zaś z poprzednich kartek, jak dalece nową, jak niespodzianie i świeżo zbiegiem wypadków wydmuchaną, była piękna bańka mydlana idei republikańskiej. Napoleon czuł, że w niej nie grozi mu dostateczna przeciwwaga jego aspiracyom monarszym, że ogół przekonał się już o przedwczesności i nieudolności Republiki; jeżeli więc z jednej strony zachowywał jeszcze pozory uszanowania dla formy rządu, którą prawnie w sobie skupiał, to z drugiej strony jak najsilniej i bezwzględnie wytępił prawdziwie republikańskie wysiłki. Próbką powstańcza czystych republikańców (13 Lipca 1849) została zgnieciona energiczniej, niż pierwsze zamieszki uliczne za czasów Cavaignac'a.

Nie posłuchał też nowy prezydent rady W. Hugo, iżby szanował prasę niezależną. Stworzył wprawdzie urzędową, ale nieurzędową gnębił ograniczeniami. Jednocześnie tą samą uprzejmością, którą nie rozbroił Wiktora Hugo, zjednał sobie wielu innych, a podzieliwszy kraj na cztery dywizye wojskowe pod komendą oddanych sobie generalów, trzymał nici intrygi w swoim ręku.

To wszystko było już dokonane w chwili owej

nieparlamentarnej rozmowy Hieronima, ale tego wszystkiego ten ostatni nie widział, skoro nie domyślał się nawet, co znaczyło historyczne „zobaczyć!”

Wiktor Hugo odgadywał Napoleona lepiej, tak co do jego zamiarów, jak i co do jego wartości moralnej, ale zarazem to pewna, że nie doceniał jego zdolności i sprytu.

Na wiosnę 1851 mogło się zdawać chwilowo, że przyszły historyk Cezara ulegnie pod naciskiem Zgromadzenia, wtykającego kije w koła jego rydwanu; ale Ludwik Napoleon poradził sobie z izbą: odroczył posiedzenia na cztery miesiące, od sierpnia do listopada, a tymczasem przy pomocy garstki ślepo mu oddanych (Persygnny, Morny, Saint Arnaud etc.), przygotował niekompletny jeszcze zamach stanu na dzień 2 grudnia 1851 r.

Zawadzający mu posłowie zostali aresztowani, izba rozwiązana, ogłoszony stan oblężenia, a wybuchły nazajutrz opór zbrojny (3 grudnia) w Paryżu i na prowincyi słumiony kartaczami.

Flegma holenderska ustąpiła miejsca bezwzględności napoleońskiej. A wzięwszy raz górę nad „ulicą,” okazał się lepszym kalkulatorem od naszego poety. Jeżeli bowiem ten ostatni zawiele sobie robił z siły ówczesnych prądów postępowych, to natomiast Napoleon, licząc na trwałość tradycyji konserwatywnych, nie przerachował się.

Jednym z pierwszych, który padł ofiarą tej zręczności, był „przyjaciół” z pierwszego obiadu, zapraszany „bez ceremonii.” Równie „bez ceremonii” został on skazany na wygnanie i osiadł na wy-

ępie angielskiej Jersey. A tymczasem Ludwik Napoleon załatwił się z opinią publiczną.

Przedstawiając przez swych zauszników prasowych widmo rewolucyi w najbardziej ponurych barwach, dyskredytując zapaleńców republikańskich przed nastraszonym mieszczaństwem, zorganizowawszy świetnie policję i urzędy prowincjonalne, rozumnym pokierowaniem agitacyi dokazał tego, że głosowanie ludu, siedmiu i pół milionami głosów przeciw sześciu i pół, potwierdziło zwrot prawny ku rządóm osobistym.

Wówczas nastąpiły nowe proskrypcye. Wszystkie znakomitości parlamentarne i wojskowe, należące do opornych, skazano na wygnanie lub deportacyę.

Mocą nowej konstytucyi (z 14 stycznia 1852) prezydent Republiki posiadał *władzę nieograniczoną na lat dziesięć, a ministrowie byli tylko przed nim odpowiedzialni*. Doskonale uposażony Senat, zastępujący dawną Izbę Parów, zawierał prawie samych wdzięcznych — zaś Izbę sprowadzono ograniczeniami do roli bezsilnie gadatliwej pomocnicy.

Jak widzimy, brakowało już tylko jednego kroku do cesarstwa, właściwie już tylko nazwy; ale Napoleon z niezwykłą zręcznością i z biegłością praktycznego psychologa urządzał stopniowanie

Od współzawodników zabezpieczył się, odbierając im kapitał, od opinii publicznej, odbierając jej głos. Dekretem z 22 stycznia 1852 r. zarządził sprzedaż majątków księcia orleańskiego, a dekretem z 18 lutego niezmiernie surowe prawo prasowe. Pod naciskiem prefektów wybory wypadły prawie całkowicie w duchu bonapartystowskim.

Wtedy wielki hypnotyzer, mając ręce wolne, a zarazem odgadując doskonale zmęczenie Francyi walkami domowemi i pragnienie ukojenia, chociażby pod naciskiem siły, rzucił krajowi i Europie ów sławny frazes: cesarstwo—to pokój, który był ostatnią suggestyą, potrzebną mu jeszcze do ukończenia dzieła.

Pod natchnieniem tej suggestyi, zaczęły się sypać adresy, żądające przywrócenia cesarstwa, a Ludwik Napoleon nie okazał się nieubłagany.

Na jego wniosek d. 4 Listopada 1852 r., Senat ogłosił go dziedzicznym cesarzem Francuzów pod imieniem Napoleona III, a głosowanie narodowe 21 i 22 listopada akt ten zatwierdziło.

Przeciw 254,501 nieprzychylnych znalazło się 8,157,752 głosów przychylnych.

Tak się idzie do chwały.

Jako cesarz Francuzów, Napoleon III, zdawał się iść za radą Wiktora Hugo, wypowiedzianą na „pierwszym obiedzie.“

Uznawał on, że ówczesna Francya pragnęła „wielkiego” rządu, że naród oddychał jeszcze potrzebą wielkości i, o ile nie miał wielkich wojen, żądał wielkich dzieł pokoju.

Napoleon III zaczął od tych ostatnich i tem się umocnił. Wyrazy wmówione: „cesarstwo — to pokój,“ zdawały się urzeczywistniać, olśniewając nie tylko kraj, ale i całą Europę, zwłaszcza na pierwszej wystawie powszechnej w Paryżu w r. 1852.

Z początku i „wielkie“ wojny sprzyjały cesarzowi (wojna wschodnia), odwracając uwagę od wewnętrznego ucisku. Ale zwolna liczba zawiedzionych

rosła, maska liberalizmu opadała coraz niżej, i nie-
 chciano już brać pęcherzy za latarnie, jak mówi fran-
 cuskie przysłowie.

Szydło egoizmu zaczęło coraz mocniej wylazić
 z worka ogółego dobra — a częściowe porażki za-
 chwiałały nieco urokiem mniemanej wszechświatowej
 potęgi.

Niemniej jednak było to dla Europy piorunem
 z pogodnego nieba, gdy Napoleon Mały, jak go nasz
 autor nazywał, podzielił los Wielkiego — z dodatkiem
 hanby.

Sedan zaćmił Waterloo.

(P. T.)

K O N I E C.





SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	3
I. W Izbie Parów	6
II. Rok 1848	16
I. Dni Lutowe	—
II. Wygnanie, ucieczka	61
III. Ludwik Filip na wygnaniu	65
IV. Król Hieronim	69
V. Dni Czerwcowe	73
VI. Chateaubriand	83
VII. Rozprawy o dniach Czerwcowych	89
III. Rok 1849.	97
I. Ogród Zimowy	—
II. Zabójcy generała Bréa	101
III. Samobójstwo Antonina Moine	108
IV. Odwiedziny w dawnej Izbie Parów	112
IV. Sylwetki ze zgromadzenia narodowego	116
Odilon Barrot	—
Pan Thiers	117
Dufaure	118
Changarnier	—
Lagrange	119

Proudhon	120
Blanqui	121
Lamartine.	123
Boulay de la Meurthe	124
V. Ludwik Bonaparte.	126
I. Pierwsze kroki	—
II. Proklamacya.	130
III. Pierwszy obiad	136
IV. Pierwszy miesiąc	148
V. Próby	150
<i>Podatek słomacza</i>	<i>154</i>

OD REDAKCYI.

Ks. S. R. w Góloch. Nowi prenumeratorowie mogą korzystać ze zniżenia ceny księgarskiej *Historji Literatury Chmielowskiego* do dnia 28 lutego 1900, a mianowicie mogą otrzymywać trzy pierwsze tomy za dopłatą 2 rs. Na przesyłkę pod opaską należy dołączyć za wszystkie trzy tomy razem kop. 60 (bez oprawy) lub 65 (z oprawą).

P. I. K. w Harszyszkach. Odpowiedzieliśmy listownie.

P. Pet. Soł. w Petersburgu. Sprawozdanie z posiedzeń medyumenicznych warszawskich z r. 1893 i 4, zawarte w dziele p. de Rochas: „*Extériorisation de la sensibilité,*“ nie jest całkiem dokładne; opinie uczestników były ogłoszone drukiem po polsku, ale odbitka ta nie znajduje się w handlu; sprawozdanie zaś d-ra O. nie było dotychczas ogłoszone, ponieważ autor uważa publikację za przedwczesną.

P. S. R. w Zalesiu. Wszelkie informacye tego rodzaju znajdzie Szan. Pan w Biurze Informacyjnem, założonem obecnie przy redakcyi „*Krajn*“ w Petersburgu. W zakres jego wchodzi szczegóły, dotyczące stosunków prawnych, administracyjnych, ekonomicznych i t. p. Na kwestye ogólniejsze Biuro udziela informacyi bezpłatnie, w sprawach zaś czysto prywatnych opłaca się za odpowiedź rb. 3 lub 10, jeśli informacya wymaga poszukiwań w odnośnych biurach administracyjnych lub sądowych. Opłaty te idą na zasilenie funduszów rzymsko-katolickiego Tow. Dobr. w Petersburgu. Nadmieniamy, że do zasięgnięcia informacyi w biurach potrzebne jest odpowiednie upoważnienie strony interesowanej.

Pani *B. w Warszawie*. Rękopis powieści jest do zwrotu u sekretarza redakcyi.

P. S. M. w Płocku. Stan Parana w Brazylii południowej jest już dziś kolonią w jednej trzeciej części polską. Obejmuje obszar dwa razy większy od Królestwa Polskiego, a ludności ma tylko tyle, co pół Warszawy. Pbd względem klimatu jest to Zakopane, zbliżone do równika, to znaczy wyniesienie nad poziom morza mniej więcej takie samo, a temperatura znacznie cieplejsza. Cena ziemi, przeważnie lesistej, bardzo niska, ehętnych nabycia także nie brak, ale ponieważ rząd nie sprzedaje mniejszemi partjami, powstała potrzeba pośrednictwa w parcelacyi. Z tą myślą zostało założone we Lwowie Towarzystw kolonizacyjne. Celem jego nie jest bynajmniej zachęcanie do emigracyi, lecz przyjście z pomocą emigracyi już istniejącej i stale rosnącej, a zwłaszcza i przedewszystkiem ułatwienie rodakom, rozrzuconym po Stanach Zjednoczonych i innych punktach globu, skupienia się w stanie Parana. Nadzwyczajnie ciekawe stosunki tej pierwszej próbki kolonizacyi rolniczej polskiej, bynajmniej nie uszły naszej uwagi i mamy już obiecaną pracę w tym przedmiocie najbardziej kompetentnego autora.

P. J. W. w Ciąkowicach. Dziękujemy za propozycyę popierania naszego wydawnictwa. Szczegóły listownie.

P. A. R. w Kuźmienicach. Numery żądane są jeszcze; wysłaliśmy je, stosownie do życzenia, za zaliczką.

P. Ey. w Grodnie. Nie rozumiemy, jakim sposobem Sz. P. mógł nie odebrać kompletu. Wysyłamy go *po raz drugi*, w płótnie; może tym razem poczta w Grodnie dopisze.

P. W. z Ilonowa Literaturę Chmielowskiego wydajemy w liczbie zwykłych tomów, bez dopłaty, tylko stałym prenumeratorem; kto więc przestał opłacać prenumeratę, ten nie może mieć prawa do dalszych tomów. Może je tylko nabywać w cenie 2 rb za tom. Nie obiecywaliśmy, że dzieło skończy się przed Nowym Rokiem, bo zależało to od stanu zdrowia prof. Chmielowskiego. Obecnie ma on się o tyle lepiej, że spodziewamy się w tych dniach otrzymać rękopis tomu czwartego, który też natychmiast pójdzie do druku. Niech jednak Sz. P. nie sądzi, że taki tom, z ilustracyami, które trzeba dopiero wyszukiwać po Bibliotekach i zbiorach prywatnych, który trzeba posyłać do Zakopa-

nego etc. etc., może być wydrukowany w ciągu paru tygodni. Żadna drukarnia nie wykończy takiej pracy prędzej, jak w ciągu paru miesięcy.

P. I. K. w Hanuszyszkach. Odpowiadamy listownie.

Dr P. W. w Kaliszu. Nie możemy nic na to poradzić. „Biblioteka“ musi pomieszczać dzieła różnych kierunków, i nie mogliśmy odrzucać rękopisu profes. Chmiel. dlatego tylko, że nie wszyscy podzielają jego przekonania. Sądzymy przytem, że zarzut pański, iż Chmiel, rozbiera obszerniej tylko autorów swego kierunku, a lekceważy innych, nie wytrzymuje krytyki. W każdym razie należało poprzeć zarzut dowodami. Literatara najnowszej doby będzie opracowana na nowo i obiektywnie, o ile wogóle krytyka literacka może być całkiem obiektywną.

P. K. K. w Egoriewsku. Nie zaszła żadna omyłka. Trzeci tom Chmielowskiego wysłaliśmy. Czwarty wyjdzie w bieżącym kwartale.

Interesowanemu. Na razie utrzymamy termin konkursu 1-go lipca. Gdyby wszakże znalazło się więcej osób pańskiego zdania, a zwłaszcza, gdyby nadsyłane przed 1 ym lipca utwory nie zapowiadały się dość dobrze, przedłużymy termin.

P. J. Ch. w Chodorkowie. Prospekt wysłaliśmy pod opaską, co zaś do dzieł, jakie drukowane będą w r. b., to nie możemy dać z góry dokładnej ich listy, bo jakkolwiek ki kanaście rękopisów mamy w zapasie, a wiele innych w zamówieniu, ale musimy się rachować z potrzebami chwili i z innemi względami. Jak tu obiecywać na pewno, na cały rok, kiedy my czasem z tygodnia na tydzień musimy cofnąć jeden lub nawet dwa tomy, i drukować na gwałt co innego? Z drugiej strony, mimo stanowczych obietnic, nieraz doznajemy zawodu od autora lub tłumacza w ostatniej chwili i również musimy dać co innego. Gdybyśmy zaś na cały rok zbierali prace z góry, to „Biblioteka“ nasza przestałaby być wydawnictwem aktualnem, a my właśnie chcielibyśmy nadawać jej coraz większe cechy żywotności. Pośpiech, z jakim wydaliśmy „Boerów“, „Polowania“ i „Rzeczy widziane“, nie byłby możliwym, gdybyśmy byli obowiązani choćby tylko jeden kwartał wypełnić ściśle według ogłoszonej listy. Jak zaś czytelnicy są drażliwi i wymagający w tym względzie, doświadczyliśmy niestety sami, w sprawie opóźnienia pierwszego tomu

Chmielowskiego, chociaż, doprawdy, nie z naszej winy. Moglibyśmy napewno podać listę w takim razie, gdybyśmy się ograniczyli do przedruków i do rękopisów już posiadanych, chociaż i w tym ostatnim wypadku już pewność nie byłaby bezwzględna, bo np. pierwszy tom Chmielowskiego mieliśmy przez cały kwartał gotowy, zanim mogliśmy go wydać. W odpowiedziach redakcyi znajdzie Szan. P. często wskazówki co do tego, jakie dzieła ukażą się w najbliższej przyszłości, ale stanowczych zapewnień, nawet na dwa tygodnie z góry, dać nie możemy.

Hr. M. P. w Małtowie. Skoro Sz. Pani już otrzymała wszystkie tomy „Biblioteki,“ a więc i trzy tomy Literatury, to drugi egzemplarz owych trzech tomów moglibyśmy wysłać tylko za dopłatą rb. 2 k. 60 (z przesyłką). Prosimy o zawiadomienie, czy wysłać?

P. R. w Sosnowicach. Tak jest, otrzyma Pan jeszcze dwa tomy.

P. H. S. w Warszawie. Ładniejsza oprawa kosztowałaby znacznie więcej, a amatorów na większą dopłatę byłoby bardzo niewielu. Ale wszakże Sz. P. może brać książki bez oprawy i oprawiać sobie według życzenia. Przyznajemy słuszność zarzutów co do niektórych tomów r. z.; złożyło się na to wiele okoliczności. Na przyszłość będziemy się starali nie zasłużyć na nie. Prace wspomnianych autorek mamy w tece, ale niepodobna wszystkiego drukować odrazu. W każdym razie dziękujemy za życzliwe uwagi.

P. M. O. w Bagatynce. Ponieważ Sz. P. pisze szczerze my odpowiemy szczerze. Odbieramy listy tego rodzaju, jedni piszą: „drukujcie powieści, bo rzeczy naukowe każdy sobie sam kupuje;“ drudzy piszą: „drukujcie utwory popularno-naukowe, bo powieści i tak wszędzie dostać można.“

Nie wątpimy, że i powieści i rzeczy naukowe każdy sobie kupić może w księgarni, ale przedewszystkiem niechże kupi w księgarni za 19¹/₄ k. nową powieść Reymonta, albo za 39 k. podróż Foà z ilustracyami, która w oryginale kosztuje 3 ruble! A powtóre, czy Sz. P. naprawdę sądzi, że dziełka popularno-naukowe są zbyteczne w „Bibliotece?“ Pisze pan tak: „Ja sądzę, że tego rodzaju prace, jak: „Liberalizm i obskurantyzm,“ „Kształcenie

młodzieży, „Nowe dziedziny widma“ i inne tym podobne, stanowią dla szerszego ogółu nie mają żadnego znaczenia. Dzieła popularno naukowe każdy z nas w zakresie swojej wiedzy i specjalności nabywa sobie oddzielnie w księgarniach; dla tego rodzaju wydawnictwa, jak wasze, jedynie odpowiedniami byłyby powieści, pamiętniki, podróże i wreszcie takie dzieła jak „Hist. Lit. Polskiej“ Chmielowskiego, „Historja narodu naszego“ etc. Co nam np. po takiej pracy jak „Istota i granice wiedzy lekarskiej?“ i t. d.

Odpowiadamy:

Ależ nam chodzi właśnie o to, żeby każdy człowiek wykształcony, nabywający dzieła tylko w zakresie swojej wiedzy i swojej specjalności, od czasu do czasu, bez wszelkiego kosztu i trudu, przeczytał także dziełko, *wychodzące po za zakres jego wiedzy i jego specjalności!*... Ciasnota pojęć, jednostronne sądy i brak ruchu w zawodach specjalnych ztąd właśnie pochodzą, że nasi „specjaliści“ (w bardzo niekompletnem znaczeniu tego wyrazu), mają wstręt do wszystkiego, co wychodzi po za obręb ich szkolnego przygotowania i coby mogło do ich umysłu wprowadzić nowe zestawienia, rozszerzające widnokrąg. Gdy przed rokiem w całym świecie rozprawiano o promieniach Röntgena i telegrafii bez drutu, czyż dziełko, wyjaśniające te sprawy w sposób ścisły i umiejętny, jak wydane przez nas „Nowe dziedziny widma,“ nie powinno było być pożądanem przez każdego, chcącego iść naprzód z cywilizacją? A „Istota i granice wiedzy lekarskiej,“ która była pierwszą u nas książką tego rodzaju i wywołała tak żywą dyskusję wśród lekarzy, podobnie jak i świeżo wydane studjum tegoż autora p. t. „Chałubiński i obecne zadania lekarskie,“ czyż nie powinno być mile widziane przez każdego czytelnika, chcącego rozumieć, co może, a czego nie może medycyna, z którą przecież niepodobna uniknąć stosunków? Gdyby jeszcze Sz. P. był lekarzem, nie dziwilibyśmy się jego zdaniu, bo, niestety, korporacja ta u nas wierzy jeszcze w konieczność chińskich murów, oddzielających lekarza od pacjenta, wszelkie wtajemniczenie profanów w arkana sztuki lekarskiej, zwłaszcza zaś w jej „istotę i granice,“ uważa za profanację tajemnic—ale ogół wykształcony jest już innego zdania i, dodajemy, także część światlejszych lekarzy. Zresztą to, co dziś Sz

Pana nie interesuje, może zainteresować za rok, przy zdarzonej okazji, a wtedy z pewnością wdzięczny nam Pan będzie za możliwość znalezienia w „Bibliotece“ odpowiednich wyjaśnień. Dziś Sz. P. każe nam dawać więcej powieści nowych tłómaczonych, a mianowicie: Bourget'a i d'Annunzia. Nie zarzekamy się tego, ale czy przewaga w tym kierunku nie byłaby raczej nieodpowiednią? Szperamy po literaturach obcych i tracimy czas drogi na studyowanie różnych wymuszonych analiz psychologicznych, chorobliwych sytuacji i dzikich ideałów, jakie wylegają się ze zmęczonych, a ciągle pobudzanych do pracy mózgów zachodnich beletrystów—niechże przynajmniej nasi czytelnicy czas ten oszczędzą! A autorowie nasi są i tak aż nadto skłonni do naśladowania wybryków obcych, zamiast myśleć o wzmocnieniu i odrodzeniu krajowych tradycyi powieściopisarskich.

W najbliższym tomie „Biblioteki“ wydamy. Wspomnienia Berlińskie i Poznańskie z r. 1848 Dra Henryka Szumana, b. Prezesa Koła Polskiego w Berlinie, z przedmową Aleksandra Kraushara.

5

433

12



WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

80708

BB

Biblioteka WSP Kielce



0176727